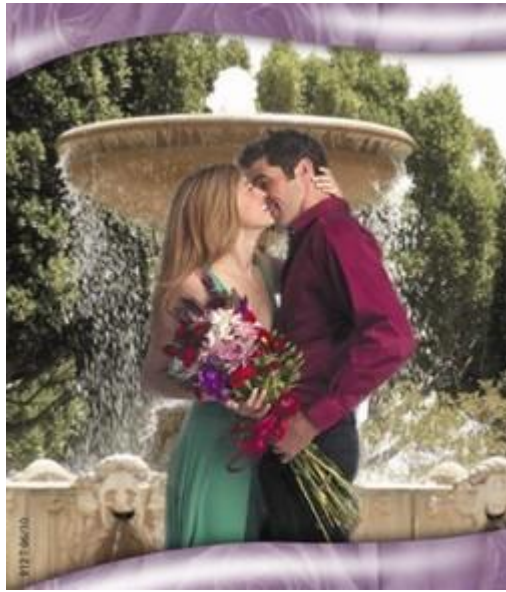




Cara Colter



Miłosny bukiet

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Dołożmy może kilka lilii - powiedziała ze smutkiem pani Johnson. - Gertruda uwielbiała lilie.

Katie zerknęła na zegar. Dochodziła pierwsza. Nie wypadało przerywać klientce składania zamówienia - zwłaszcza że dotyczyło wieńca pogrzebowego - by popatrzeć przez okno. Ale przecież pani Johnson, gdy weszła dziesięć minut temu, wspomniała, że się spieszy. Już dawno powinny skończyć.

Zdając sobie sprawę, że zachowuje się niestosownie, Katie odłożyła długopis. Cóż, ostatecznie to jej kwaciarnia i ona tu rządzi. Jeśli chce podejść do okna, ma do tego prawo.

- Przepraszam - wtrąciła. - Muszę poprawić coś na wystawie.

Ignorując zdumione spojrzenie klientki, zaczęła robić swoje. Dla niepoznaki odrobinę przesunęła wazon z kolorowymi floksami, które zapowiadały wiosnę, a z nią nowe nadzieje.

Dokładnie w tym momencie mężczyzna, którym ze wszech miar pogardzała, wyłonił się zza rogu First Street i skręcił w Davis. Dylan McKinnon nie uprawiał joggingu dla relaksu, ale biegł pełną parą, a jego ciemne włosy rozwiewał wiatr. W czarnej bluzie z kapturem i bez rękawów wyglądał doskonale. Potężne ramiona napinały się bez wysiłku, a widok jego lekko spoczonej skóry zapierał dech. Bluza znakomicie podkreślała jego atrybuty i zapewne w tym celu została zaprojektowana. Podobnie jak szorty ukazujące doskonałą linię silnych, umięśnionych nóg.

Jesteś żałosna, zgromiła się Katie w duchu, zdając sobie sprawę, że to nie Dylanem pogardza, lecz swą słabością.

Miał promienny, iście hollywoodzki uśmiech, odrobinę przydługie włosy w kolorze mocnej kawy, przywodzące na myśl dawnych szkockich wojowników, być może jego przodków, wydatny nos, dołeczek w podbródku oraz wysokie kości policzkowe.

Dziś na jego pięknie wyrzeźbionej twarzy pokrytej świeżym zarostem malował się wyraz skupienia i niemal groźnej stanowczości. Spojrzenie jego oczu - niebieskich jak niebo przed zachodem słońca, okolonych ciemną obwódką rzęs - świadczyło o poczuciu własnej wartości.

Katie nienawidziła się za to, że uwielbia mu się przyglądać. Cóż, Dylan McKinnon nie bez powodu był najbardziej rozchwytywanym kawalerem w Hillsboro w stanie Ontario.

Nie zatrzymuj się, błagała w myślach, gdy zwolnił przed jej kwiaciarnią. Cofnęła się, aby nie zauważył, że go obserwuje. Gdy otworzył drzwi, zdążyła już stanąć za kasą i z powrotem założyć okulary. Zerknęła na niego sponad oprawek, próbując uspokoić oddech.

- Przyjmuję zamówienie - oświadczyła z chłodną uprzejmością. - Proszę chwilę poczekać.

Uśmiech złagodził rysy jego twarzy, ale jednocześnie uniesione brwi dobitnie świadczyły, co sobie pomyślał, choć nie wypowiedział tego głośno: Jeszcze żadna kobieta nie kazała wielkiemu McKinnonowi czekać.

Katie zacisnęła usta. Da mu do zrozumienia, że w przeciwieństwie do innych jest odporna na jego wdzięki. Co prawda pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu codziennie go obserwowała, ale o tym nie musiał wiedzieć, prawda? Powinien czekać w kolejce, jak wszyscy.

Taktyka Katie na nic się jednak zdała, pani Johnson bowiem rozpoznała gościa.

- Och, nie! - rzekła bez tchu, nagle zapominając, że się spieszy. - Przepuszczę pana, panie McKinnon.

- Och, żaden pan, po prostu Dylan. - Uśmiechnął się słodko do starszej kobiety. - Katie, kochanie... - rzucił, podchodząc do kontuaru ze zwykłą pewnością siebie.

Nie zamierzała ulec temu uśmiechowi.

- Panie McKinnon...

- Co sądzisz o mojej nowej bluzie? - spytał, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że zabiera cenny czas.

Mimo woli zerknęła na bluzę. Musiała przyznać, że idealnie podkreśla jego muskularne ramiona. Na jego piersi zauważyła charakterystyczny czerwony emblemat firmy Daredevils. Przełknęła ślinę i spojrzała mu w oczy. No tak, już wiedział, co sądzi o jego bluzie. Zarozumialec! A więc nie sprawi mu tej przyjemności i nie powie tego głośno, nawet gdyby za kłamstwo groziło obcięcie języka.

- Uważam, że bluza powinna mieć rękawy.

Zmarszczył brwi.

- To bluza do biegania. Łatwiej się biega z wolnymi rękami. Poza tym człowiek się nie przegrzewa. To najnowsze dzieło naszych projektantów. W przyszłym tygodniu wchodzi do produkcji.

- Ma kaptur - podkreśliła.

- I co z tego?

- A więc głowa może zmarznąć, a ramiona nie?

Popatrzył na nią ze złością.

- Zaprojektowano ją bez rękawów między innymi po to, żeby jej nie przepocić.

- Przepocić? - powtórzyła, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby powiedziała brzydkie słowo.

- Łatwiej jest uprać koszulkę niż bluzę. - Rozpiął suwak, jakby chciał zdemontować, co ma pod spodem.

Stoczyła się już tak nisko, że dyskutuje o koszulkach z Dylanem McKinnonem!

Zanim zdążył się rozebrać, podniosła rękę w geście protestu. Ciemne brwi Dylana poszybowały do góry. Czyżby odgadł, że dawno nie widziała rozebranego mężczyzny i zaraz zemdleje?

- Właściwie to czym mogę służyć? - Lekkim tonem próbowała pokryć zakłopotanie.

- Katie, moja droga, chciałbym, abyś wysłała coś dla...

- Heather - podpowiedziała sztywno.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Właśnie, dla Heather. Dzięki.

- Jakiś bilecik? - zapytała.

- No wiesz...

Katie szybko policzyła w myślach. To już trzeci bukiet dla Heather.

- Coś w rodzaju: „Przepraszam, że zapomniałem”? - podsunęła.

Nawet jeśli odrobinę się zawstydził, że jego kapryśne serce jest aż tak przewidywalne, niczego po sobie nie okazał.

- Świetnie - uśmiechnął się z zadowoleniem. - I może jeszcze mały bukiet dla Tary.

Związek z Heather dobiegał więc końca. Tara była zawsze w odwodzie.

Biedna Tara. Biedna Heather.

Dylan skinął uprzejmie głową pani Johnson i wyszedł. Kwaciarnia, która kilka chwil temu wydawała się barwna i radosna, nagle zbladła i poszarzała, jakby zabrał ze sobą wszystkie kolory i energię.

- Czy to naprawdę był „Nieustraszony” Dylan McKinnon z Toronto Blue Jays? - spytała pani Johnson.

Dylan od ponad pięciu lat nie grał już w bejsbola. Zdaniem Katie udało mu się wykorzystać najkrótszą karierę w dziejach zawodowej ligi bejsbolowej do zdobycia sławy zdecydowanie większej, niż zasługiwał.

- We własnej osobie - odparła niechętnie.

- Mój Boże - westchnęła pani Johnson. - Mój Boże!

Młode. Stare. Wszystkie. Dylan McKinnon miał w sobie to nieuchwytnie coś, co sprawiało, że nie mogła mu się oprzeć żadna przedstawicielka płci przeciwnej.

To z pewnością feromony, skostatowała Katie. Prymitywny zew nakazujący kobiecie wybrać największego, najsilniejszego i najodważniejszego samca. A do tego był nieziemsko przystojny. Nie dziw, że żadna kobieta nie mogła przejść obok niego obojętnie.

Ale dla takiej, która miała choć krztynę rozumu, nie było usprawiedliwienia.

Jesteś beznadziejna, zgromiła się w duchu, a głośno powiedziała:

- Wracając do wieńca, które lilie dodamy?

- Czy on mieszka gdzieś niedaleko? - przerwała pani Johnson. - Moja wnuczka go wprost uwielbia!

Jeśli pani kocha wnuczkę, lepiej niech ją pani trzyma od niego z daleka, pomyślała Katie.

- Nie mam pojęcia - odrzekła sztywno.

W rzeczywistości wiedziała doskonale, że dwa domy dalej, za drzwiami, na których widniała dyskretna tabliczka z brązu, znajduje się siedziba jego sławnej firmy produkującej artykuły sportowe. Nie widziała jednak powodu, aby to rozgłaszać. Jeśli adres jego handlowego imperium przedostanie się do publicznej wiadomości, nie będzie mogła nigdzie zaparkować.

- Kwiaty dla Gertrudy - przypomniała.

- Ach, tak... - Pani Johnson wolno wracała do rzeczywistości.

- Może dodamy konwalii? - zasugerowała Katie. - Przywołują na myśl krainę wiecznej szczęśliwości.

- Och, moja droga, jakież to urocze! Wspaniały pomysł. Wiem, że pani zna symbolikę kwiatów.

W czasach wiktoriańskich przywiązywano do tej symboliki dużą wagę. Kwiaty wyrażały myśli i uczucia. Katie jako florystka poznała ich tajemniczy język i starała się, by jej bukiety uwodziły nie tylko pięknem, ale również przekazywały sekretne myśli ofiarodawcy.

- To będzie piękny wieniec - obiecała.

Już widziała konwalie i lilie splecione z białą błyszczącą gipsówką w aureoli drobnego białego kwiecia.

Wyobraziła sobie również bukiet przeznaczony dla Heather Richards. Kilka lwich paszczy wśród żółtych róż. Ostrzeżenie przed miłosnym zawodem. Choć Heather na pewno tego nie zrozumie.

Heather była w Hillsboro celebrytką, nie tylko z racji tego, że pokazywała się u boku Dylana, ale również dlatego, że wygrała miejscowy konkurs na Miss Bikini.

Dla Tary natomiast Katie wybrała azalie, które mówiły: „Miej się na baczności”.

- Odniosłam wrażenie, że Dylan to pani dobry znajomy. - Myśli pani Johnson uparcie wracały do przystojnego mężczyzny. - Zwracał się do pani po imieniu.

- Pan McKinnon to mój stały klient.

- Co za uroczy człowiek! I używał takiego ładnego zdrobnienia...

- Pan McKinnon z czarowania kobiet uczynił prawdziwą sztukę. - Doskonale o tym wiedziała, ponieważ od roku przyjmowała jego zamówienia.

Byłaby niesprawiedliwa, wyrażając się o nim z niechęcią. Dylan McKinnon zawsze był dla niej uroczy. W jego towarzystwie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest jedyną dziewczyną na świecie, która naprawdę go interesuje. Właśnie dlatego mógł zdobyć każdą kobietę, na którą choćby mrugnął.

Poza tym, że był jednym z najlepszych klientów, to jeszcze robił reklamę. Prawie wszystkim jego przyjaciółkom tak bardzo podobały się bukiety, że same zaczęły odwiedzać jej kwiaciarnię.

Oczywiście pani Johnson nie byłaby tak zachwycona, gdyby знаła prawdę.

Wysyłając bukiety jego licznym przyjaciółkom, Katie poznała jego prawdziwe oblicze. Na przykład kwiaty dla Heather. Zamawiał je po raz trzeci, a więc zapewne chciał za coś przeprosić. Zapomniał o lunchu albo o przedstawieniu w operze. Być może do lwich paszczy i róż powinna dołożyć kilka astrów - na znak skruchy?

Jeśli znajomość z Heather będzie rozwijać się według zwyczajnego schematu, a nie ma powodu, by działało się inaczej, jeszcze raz zamówi dla niej kwiaty - bukiet typu „Miło było cię poznać” - i Heather przejdzie do historii, podobnie jak tuzin innych, z którymi Dylan romansował.

Dwanaście kobiet w jednym roku! A więc jedna miesięcznie. Haniebne.

Nie licząc Tary, Sarah, Janet i Margot - dziewczyn czekających w pogotowiu - które otrzymywały bukiety nieregularnie, najczęściej wtedy, gdy wygaszał jego miesięczny płomienny romans z inną. I był jeszcze ktoś specjalny, dla kogo osobiście wybierał kwiaty, regularnie co tydzień w piątki.

Wysyłając w jego imieniu bukiety, Katie miała nieprzyjemne wrażenie, że przez ramię zagląda do jego małego czarnego notesu.

Absolutnie karygodne! Wiedziała, jak lekko traktował kobiety, a nadal codziennie podbiegała do okna, aby na niego popatrzeć i nadal rumieniła się, gdy uśmiechał się do niej lub z niej żartował. To tylko zwiastowało kłopoty w jej uporządkowanym życiu.

Wchodząc do swojego biura, Dylan McKinnon zerknął na zegarek. Przebiegł kilometr w niecałe cztery minuty. Nieźle jak na faceta, który wkrótce skończy dwadzieścia siedem lat. Puls wrócił już do normy.

Z satysfakcją rozejrzał się po recepcji. Wystrój był elegancki i nastrojowy: ciemnobrązowe skórzane kanapy, oryginalny turecki dywan, dzieła sztuki, przyćmione światła. Na recepcyjnej ladzie stał bukiet Katie - brzoskwiniowe róże lśniły wewnętrznym blaskiem. Całkiem nieźle biuro jak na faceta, który nawet nie skończył college'u.

- Zadzwoń do Erin - zwrócił się do sekretarki. - Powiedz jej, że zanim nowa bluza wejdzie do produkcji, powinniśmy zastanowić się nad możliwością zaprojektowania tego modelu z odpinanym kapturem. A może zrobić też rękawy na suwak, skoro z definicji bluza ma rękawy? Najlepiej połącz mnie z nią.

- Dobrze - odpowiedziała.

Margot była śliczną dziewczyną; na szczęście również mężatką. Dylan nie spotykał się z mężatkami ani ze swoimi pracownicami. Trzymał się zasad, co na pewno zaskoczyłoby Katie...

Niespodziewanie poczuł żal, ale szybko się z niego otrząsnął. Za każdym razem, gdy wchodził do kwaciarni, Katie traktowała go z niechęcią. To nawet zabawne. Raz czy dwa przyszło mu do głowy, by zaprosić ją na randkę. Wywnioskował z rozmów, jakie prowadzili podczas roku znajomości, że jest samotna. Intrygowała go, a jednocześnie była o wiele bardziej skomplikowana niż dziewczyny, które mu się podobały.

Margot, patrząc przepraszająco na swego szefa, podała mu różowe karteczki z pilnymi wiadomościami.

- Jedna od ojca, druga od siostry - wyjaśniła. - Pozostałe od panny Richards.

- Dziękuję. - Wsunął je do kieszeni.

Nie chciał dziś rozmawiać z ojcem. Jutro chyba też nie. Co do Heather, to rzeczywiście wczoraj wieczorem wystawił ją do wiatru. Chciała zaciągnąć go na pokaz mody, ale prawdziwi mężczyźni nie chodzą na pokazy mody. Nie chciał się z nią kłócić ani słuchać jej narzekań, rzucił więc zdawkowo, że może przyjdzie. Ale przecież nie obiecywał!

Gdy wrócił z pubu, którego był współwłaścicielem, automatyczna sekretarka w telefonie migąła jak oszalała. Wszystkie wiadomości pochodziły od Heather. Każda następna była coraz bardziej histeryczna.

Heather zaczynała przysparzać mu bólu głowy. Znów to samo. Jak to się dzieje, że dziewczyny takie jak Heather zawsze zachowują się... jak Heather? Są zaborcze, kosztowne, przewidywalne.

Przewidywalne...

On taki właśnie jest dla Katie. Nie wiedział, śmiać się czy złościć, że tak szybko go rozszyfrowała.

Skąd wiedziała, co napisać na bileciku dla Heather?

Ta mała kokietka ma zdolności parapsychologiczne. Jest cholernie inteligentna, ale jednocześnie łatwo ją przejrzeć. Omal nie zemdląca, gdy chciał zdjąć bluzę. Sprawiała wrażenie odrobinę naiwnej, co było niezmiernie ożywcze. Intrygujące. Pewnego razu, jakby mimochodem, przyznała, że jest rozwódką. Wprost nie do wiary, bo wyglądała jak dziewczynka.

I taka kobieta przejrzała go na wskroś! Pora się nad sobą dobrze zastanowić.

Na razie odłożył ten problem na bok i wybrał najmniej kontrowersyjną osobę spośród tych, które do niego dzwoniły. Zatelefonował do Tary.

- Cześć, siostrzyczko - powiedział, gdy odebrała. - Jak się masz? - W tle słyszał wycie Jake'a, swego czternastomiesięcznego siostrzeńca.

Tara, która nie lubiła towarzyskich wstępów, rzuciła prosto z mostu:

- Zadzwoń do ojca, na litość boską! Co się z tobą dzieje?

Tara była od niego siedem lat starsza. Zdążył już pogodzić się z faktem, że nigdy nie będzie dla niej światowej klasy sportowcem ani rzutkim przedsiębiorcą, który w Hillsboro osiągnął sukces. Widziała w nim wyłącznie młodszego brata, którego należy strofować i wychowywać. Oczywiście według własnego systemu wartości.

- I, na Boga, kim jest ta kobieta, z którą cię sfotografowano? - ciągnęła. - Poniżej poziomu, nawet dla ciebie. Wygrała konkurs taplania się w błocie czy co? Nie do wiary!

- To nie ten konkurs wygrała - zaprotestował.

Tylko jego siostra może tak wyrażać się o Heather. Chłopcy z pubu Doofus lepiej się na tym znają, nie? Heather jest niezłą laską.

- Dylanie, zadzwoń do ojca. I znajdź sobie wreszcie jakąś przyzwoitą dziewczynę. Och, zresztą nieważne. Wątpię, żeby jakkolwiek przyzwoita dziewczyna chciała się z tobą umówić. Naprawdę jesteś za stary, żeby nie móc opanować burzy hormonów, a za młody na kryzys wieku średniego. Wiesz, że mama jest chora. I nie

zmienisz tego, rozbijając się na motocyklu czy podrywając wszystkie lalunie w Hillsboro i okolicy.

- Nie próbuję niczego zmieniać - obruszył się. A potem spytał wbrew sobie: - Co to znaczy przyzwoitą?

- Normalną, miłą. I może choć trochę inteligentną. No, muszę już kończyć. Jake właśnie zjadł fiołek afrykański. Czy myślisz, że może być trujący?

Na pewno mniej niż twój jadowity język, pomyślał, lecz powstrzymał się przed głośnym komentarzem.

- Na razie, siostrzyczko.

- Pamiętaj, że tylko ktoś, kto cię bardzo kocha, powie ci prawdę.

- Dziękuję - rzucił szorstko.

Jednak chwilę po odłożeniu słuchawki z niechęcią przyznał, że ceni sobie jej szczerość. Zbyt wielu ludzi mu schlebiało. Jego siostra należy do wyjątków.

Może jeszcze Katie Pritchard... Gdy się nad tym zastanowił, była jedyną znaną mu kobietą, która pasowała do określenia „przyzwoita”.

Zamówił u niej masę kwiatów, zanim jeszcze dowiedział się, że w bukietach ukrywa sekretne wiadomości.

Lubił przychodzić do jej małej kwiaciarni. Przypominała oazę w środku miasta. Przekornie lubił chwile, gdy Katie z trudem ukrywała swoją dezaprobatę.

Lubił ją wkurzać. Lubił się z nią sprzeczać. To prawda, przez ostatni rok większość kobiet nie potrafiła mu się oprzeć i to go szczerze bawiło. Ale wcale nie było tak, jak myśli Katie. Wstępował do jej kwiaciarni, by wysłać kwiaty siostrze. Bukiety od niego otrzymywała również Sarah, jego rzeczniczka prasowa, oraz siostra zakonna Janet, która prowadziła klub dla młodzieży. Czasem zamawiał kwiaty tylko po to, aby zobaczyć, jak Katie wykrzywia z niesmakiem usta, gdy mówił: „Po prostu napisz: z wyrazami miłości od Dylana”. Nawet kwiaty, które stały w jego recepcji, nadeszły z bilecikiem zaadresowanym do Margot.

Raz w tygodniu pozwalała mu wejść do chłodni na zapleczu i samemu wybrać

kwiaty. Nigdy się do tego nie przyznała, ale wiedział, że nikogo nie wpuszcza do tego pomieszczenia. Nie powiedział jej, dla kogo bukiet jest przeznaczony, a Katie nie pytała.

I ona uznała go za przewidywalnego! Katie, kobieta, która wygląda jak laureatka konkursu na bibliotekarkę roku!

Za każdym razem, gdy wchodził do kwaciarni, zakładała okulary, w których wyglądała surowo i onieśmielająco. I te sukienki! W kwiatki z koronkowymi kołnierzykami! Była zgrabna, ale z jakiegoś powodu chciała wyglądać nieatrakcyjnie. Nosila czarne płaskie pantofle, jakby wstydziła się swojego wzrostu. Czyż ona nie wie, że wszystkie modelki są szczupłe i wysokie? No tak, większość z nich ma trochę więcej z przodu, ale jej biust przynajmniej wygląda naturalnie.

Wszystko sprowadza się do jednego: przyzwoita.

Uśmiechnął się złośliwie. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, że potajemnie przyjrzał się jej piersiom i uznał je za naturalne?

Zapewne rozbiłaby mu wazon na głowie. Na samą myśl o tym Dylan poczuł dreszczyk emocji. Uwielbiał wyzwania.

Tara oceniła, że żadna przyzwoita dziewczyna się z nim nie umówi. A gdyby się pomyliła, czy to by oznaczało, że w wielu innych sprawach też nie miała racji?

Właściwie dlaczego nie Katie?

To prawda, nie jest zjawiskową pięknoscią, ale ma dużo uroku... Podobały mu się jej włosy - jasnobrązowe, błyszczące, niesfornie wymykające się z kucyka. Gdyby tylko częściej się uśmiechała i użyła trochę makijażu, by podkreślić te swoje zachwycające oczy w kolorze orzechów laskowych. A ona, cóż, woli wyglądać nieelegancko.

Spełnia kryteria jego siostry: jest przyzwoitą dziewczyną. Uczciwą. Czy też inteligentną? Mógł się założyć, że zna nazwisko obecnego burmistrza Hillsboro, a także aktualnego premiera Kanady. I z pewnością potrafiłaby wymieni ć tytuły kilku powieści Steinbecka.

Oczywiście jej wiedza na temat bejsbolu i ostatnich rewelacji w lidze hokejowej była mocno ograniczona. Podobało mu się, że w jego obecności wydawała się zdenerwowana, ale robiła wszystko, by to ukryć. Dałby głowę, że codziennie obserwowała go, jak biega.

A więc Katie uważa, że jest przewidywalny? A Tara, że żadna przyzwoita dziewczyna się z nim nie umówi?

Jeśli Dylan McKinnon czymkolwiek się wyróżniał, to na pewno tym, że potrafił zaskakiwać. Nigdy nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać. Trzymał wszystkich w niepewności. Ten sposób postępowania pomógł mu odnieść sukces w sporcie, a teraz w biznesie.

Zadzwoił telefon.

- Heather na linii - oznajmiła recepcjonistka.

- Nie ma mnie.

Rozmawiał już z Heather po wysłaniu jej kwiatów. Powinna się uspokoić i zachowywać rozsądnie. Wczoraj wieczorem w telewizji był ważny mecz hokejowy. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł oczekiwać, że Dylan McKinnon pójdzie w tym czasie na pokaz mody!

Heather co prawda obiecywała, że dziewczyny będą demonstrować bieliznę, ale w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło. Zaczynał czuć znużenie.

Szczerze mówiąc, miał po dziurki w nosie modelek pokazujących pępek lub biodra w obcisłych dżinsach, dziewczyn pokłutych kolczykami, o tlenionych włosach i podejrzenie sterczących piersiach.

Próbował interesować się wszystkim tym, czym powinien zajmować się sławny sportowiec i bogaty biznesmen, ale w pewnym sensie jego siostra ma rację. Jego rozrywki i dziewczyny są coraz gorszej jakości. Nie miał już do tego serca. Dla odmiany chciał, aby jemu zrobiono niespodziankę.

Znów pomyślał o przysłoniętych okularami oczach Katie, w których malowała się nieufność.

Pod wpływem impulsu przerzucił biurkowy notes, podniósł słuchawkę i wystukał jej numer.

- Kwiaciarnia, słucham.

- Cześć, Katie, tu Dylan.

Najpierw zapadła cisza, a potem Katie powiedziała, jak zwykle bardzo uprzejmie:

- Słucham?

- Czy mogłabyś... - Co on wyrabia? Czyżby chciał zaprosić kwiaciarę na kolację?

- Słucham?

- Och, wymień tytuły trzech powieści Steinbecka. Wysyłam kupon konkursowy. Mogę wygrać nagrodę. Darmową kawę przez cały rok w mojej ulubionej kawiarni. - Potrafił kłamać jak najęty; kolejny jego talent, który nie spotkałby się z jej aprobatą.

- Nie potrafisz wymienić tytułów trzech powieści Steinbecka? - spytała z nutą pogardy w głosie.

- No wiesz, jestem tylko tępym mięśniakiem.

- Aha - mruknęła tonem, jakby o tym doskonale wiedziała i nie miało dla niej żadnego znaczenia, że prowadził biznes wart miliony dolarów. - Które? Najpopularniejsze? Najwcześniejsze? Ostatnie?

- Wszystko jedno.

- „Na wschód od Edenu”, „Grona gniewu”, „Myszy i ludzie”. Choć mnie osobiście najbardziej podobało się opowiadanie „Chryzantemy”.

Roześmiał się.

- Coś o kwiatach, prawda?

- O nieszczęśliwym małżeństwie.

- A są jakieś inne? - spytał lekkim tonem. Małżeństwo jego rodziców było wyjątkowo udane, ale do czasu...

Milczała. Dylan zrozumiał, że uderzył w czuły punkt. Katie jest wrażliwa, delikatna, a on cóż - wprost przeciwnie.

Po chwili odezwała się cicho i z godną podziwu odwagą, zważywszy że jej małżeństwo prawdopodobnie było całkowicie nieudane.

- Lubię mieć nadzieję.

A to dopiero! Dziewczyna, która przeżyła rozwód, lubi mieć nadzieję. Ale skoro ma nadzieję, może postara się być trochę bardziej atrakcyjna, co?

- Nie chodzi o mnie... - dodała spiętym głosem. - Po prostu chcę wierzyć, że gdzieś ktoś jest szczęśliwy. Z kimś.

Słowo „nadzieja” użyte w kontekście małżeństwa powinno wystraszyć na śmierć każdego zaprzysięgłego kawalera. Ale Dylan często miał kłopot z oceną stopnia ryzyka. Zresztą strach zwykle pchał go do przodu, zamiast nakazywać odwrót. Dlatego Dylan pokonał wszystkie czarne trasy w Whistler Blackcomb, dlatego skakał na bungee z New River Gorge Bridge w Wirginii i planował polecieć w kosmos, gdy jego firma osiągnie obrót pięciuset milionów dolarów rocznie. Dylan McKinnon był dumny z tego, że niczego się nie bał. Zasłużył sobie na przydomek „Nieustraszony”.

Zawsze wykorzystywał szanse, dzięki temu dotarł tak wysoko. Jednocześnie - przypominał głos rozsądku - właśnie z tego powodu zakończył karierę bejsbolisty, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

- Pójdiesz ze mną na kolację? - wypalił, odsyłając rozsądek do kąta.

Cisza.

- Katie, jesteś tam?

- Nie wysłałeś jeszcze Heather czwartego bukietu - powiedziała.

- Czego?

- Czwartego bukietu. „Miło było cię poznać. Jestem takim wspaniałym facetem, że wysyłam kwiaty, ale to już koniec”.

Dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Jak to się dzieje, że Katie tak dobrze go

zna? Pomyślał o roku ich znajomości, o jej inteligentnych oczach, którymi badawczo mu się przyglądała. Oceniała go raczej prawidłowo. Był skupiony na sobie i samolubny.

- Masz rację - powiedział. - Wyślij go. Zamiast tamtego z przeprosinami.

- Tamten już wysłałam.

Podziwu godna kompetencja.

- Wyślij więc kolejny.

- Z bilecikiem: „Wspaniale było cię poznać. Wszystkiego najlepszego”?

Naprawdę stał się przewidywalny. Do diabła!

- Oczywiście, świetnie - powiedział.

- Coś jeszcze?

- Teraz ty mi powiedz. Gdy czwarty bukiet zostanie wysłany, będę już wolny?

- Oczywiście, że tak - odparła słodko.

- Wspaniale. A więc kiedy wybierzemy się na kolację?

- Nigdy.

Był wstrząśnięty. Do licha, może być tylko jeden powód, dla którego Miss Przyzwoitości mu odmówiła. I wcale nie chodzi o to, że nie umówi się z nim żadna przyzwoita dziewczyna...

- Masz jakiegoś faceta?

Cisza.

- Przepraszam, ale wszedł klient.

Katie Pritchard odłożyła słuchawkę. Oszołomiony wybuchnął śmiechem. Chciał, żeby ktoś zrobił mu niespodziankę, i oto jego życzenie się spełniło. Właśnie dostał kosza. Powinien być wściekły, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu rzucono mu wyzwanie. A więc postara się mu sprostać.

A co później? Dziwne pytanie jak na mężczyznę, który szczyci się tym, że w kontaktach z płcią przeciwną nie zawraca sobie głowy przyszłością.

Katie, choć jest rozwódką, wygląda na taką, która nie umówi się z mężczyzną

bez przyzwoitki lub podpisanego kontraktu. Idealna dziewczyna, żeby zaprosić ją na kolację do siostry. I nic poza tym.

A więc dlaczego przyszło mu do głowy, jak to by było, gdyby niespodziewanie ją pocałował?

W co ty się pakujesz, stary?

Zdumiewające, ale potrafił sobie wyobrazić smak jej ust. Były pełne i naturalne; praktycznie błagały mężczyznę, aby ich posmakował. Starał się sobie przypomnieć, jak wyglądały usta Heather, ale jedyny obraz, jaki wyłowił z pamięci, to czerwone plamy od szminki na kołnierzyku swojej koszuli. Zadrżał, pomimo że Heather nie była dziewczyną, na myśl o której mężczyzna by się wzdrygał.

Spotkanie z Katie jawiło się jak randka ze świętą, Dylan jednak poczuł, że ma przed sobą cel. Katie go intrygowała i chciał, aby poszła z nim na kolację. Udowodni swojej siostrze, jak bardzo się myli. W każdej sprawie.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nigdy! - powtórzyła Katie, rzucając ze złością słuchawkę.

O co mu chodzi? Dlaczego zaprosił ją na kolację? To wcale jej się nie podobało.

Szczerze mówiąc, marzyła o takiej chwili, odkąd otworzyła kwiaciarnię „The Flower Girl” po sąsiedzku z siedzibą jego firmy, ale jak to zwykle bywa z marzeniami, gdy wreszcie się spełniają, przysparzają kłopotów. Randka z Dylaniem wszystko zniszczy.

Jego związki z kobietami są wszak przelotne.

A potem... Potem będzie po wszystkim. Naprawdę po wszystkim. Dylan przestanie wpadać do kwiaciarni, aby zamówić kwiaty i pożartować. Nie będzie jej dokuczał ani irytował ją swoją niestałością. Dylan, nie wiedząc o tym, pomógł jej pozbierać się psychicznie po fiasku jej małżeństwa.

Och, nie chce do tego wracać...

Od rozvodu z Marcusem minęły dwa lata. Dopiero praca w kwiaciarni, którą otworzyła rok temu, przywróciła jej życiu sens. A Dylan niechcący stał się jego częścią.

Przemknęło jej przez głowę, że jeśli widok Dylana biegnącego ulicą oraz jego niespodziewane wizyty stanowią główną atrakcję jej życia, to jest ono żalosne.

Jakby szukając potwierdzenia tego odkrycia, spojrzała w lustro. Twarz pozbawiona makijażu, włosy ściągnięte w ogonek i ta sukienka! Naprawdę okropna. Katie celowo wybierała fasony, które jej zdaniem komponowały się z atmosferą, jaką chciała wyczarować w swojej kwiaciarni - sielskości, zdrowia, powrotu do natury, do stylu dzieci kwiatów.

Ale w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie ma dodatkowy podtekst. Strach. Po prostu nie chciała się podobać. Zwłaszcza mężczyznom.

W przeciwnym razie zapraszaliby ją na randki. A to mogłoby oznaczać, że do

jej serca powróci nadzieja.

Lubię mieć nadzieję, powiedziała głupio do Dylana, choć w istocie nadzieja była ostatnią rzeczą, której pragnęła. Gdy miała dziewięć lat, rozpadło się małżeństwo jej rodziców i odtąd marzyła o ciepłym domu i własnej rodzinie. Marzyła o łóżeczku dla niemowlęcia i słodko pachnącym dziecku.

Zatrzasnęła drzwi przed tymi myślami, ale wystarczyło, aby Dylan zaprosił ją na kolację i od razu jakaś zdradziecka część jej duszy pragnie znów mieć nadzieję. Pogratulowała sobie w duchu, że miała tyle siły, aby mu odmówić, zanim sprawy zaszły zbyt daleko.

Nawet taki egocentryk jak Dylan McKinnon powinien zrozumieć słowo „nigdy”.

Zerknęła na zegar. Zbliża się pora zamknięcia. Zdecydowała, że pójdzie dziś do kina, obejrzy jakiś polityczny thriller, w którym nie będzie mowy o romansie, miłości i dzieciach - sprawach, które mogą ranić.

Gdy już zamykała drzwi, okazało się, że on akurat robił to samo. Mimo wysiłku, aby szybciej przekręcić klucz i udawać, że go nie widzi, nagle palce zaczęły jej drżeć. Po chwili Dylan stał za jej plecami.

- Cześć. - Wyjął jej z ręki klucze, zamknął drzwi i oddał je z powrotem. - Zmienimy tę bluzę.

Była zirytowana, że go spotyka zaraz po tym, jak go odprawiała. I jeszcze bardziej zirytowana, że zadrżała, gdy przelotnie dotknął jej ręki.

- Zrobimy odpinany kaptur i rękawy na suwak.

Stał zbyt blisko; nie było tu kontuaru, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Głęboko wpatrywał się w jej oczy, roztaczając wokół siebie rześki zapach wody po goleniu. Usiłowała zrozumieć, o czym mówi, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że o bluzie, w której rano biegał.

Nic jej to nie obchodziło. Chciała jak najszybciej zostać sama. Rozpaczliwie. Jak on śmie, bez żadnego wysiłku, wyglądać tak wspaniale? W dodatku sprawił, że

zawstydziała się swojego niegustownego ubrania i - do licha! - zaczęło ją ono nagle obchodzić!

- Nie lubię ubrań z odpinanymi elementami - odrzekła i prawie natychmiast pożałowała, że w ogóle wyraziła swoją opinię.

Niepotrzebnie przedłużyła konwersację.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie?

- Bo są niewygodne w użyciu - stwierdziła.

Przyjrzał się jej badawczo.

- Nie masz zbyt dobrej koordynacji ruchowej. Pamiętasz, jak upuściłaś wazon z różami? Jak pośliznęłaś się na lodzie i pomagałem ci wstać? Albo wtedy, kiedy potknęłaś się o dywanik i wyleciałaś w powietrze?

W kącikach jego oczu pojawiały się zmarszczki, gdy się uśmiechał. Starzał się, jak wszyscy, ale był jedynym mężczyzną na świecie, oprócz Richarda Gere oczywiście, któremu zmarszczki wokół oczu dodawały seksu.

- Dziękuję za przywołanie miłych dla mnie wspomnień - powiedziała sarkastycznie.

Do licha, była zażenowana, jakby zdarzyło się to wczoraj. Oczywiście to z powodu jego obecności zachowała się niezdarnie, ale on nie musi o tym wiedzieć!

- Nie obraż się, ale nie jesteś osobą, dla której projektujemy.

- Wielka szkoda - odrzekła chłodno - ponieważ jestem przeciętna, podobnie jak większość twoich klientów, którzy kupują sportowe ubrania, aby pobiegać wokół domu albo zabrać psa na spacer. Nie przygotowują się oni do olimpiady ani na obóz sportowy drużyny Blue Jays.

Patrzył na nią ze złością, co było lepsze niż ten jego seksowny uśmiech.

- A gdzie będzie odpinany kaptur i rękawy, kiedy nagle zaczniesz padać? - ciągnęła bezlitośnie. - W kieszeni? Na wieszaku w przedpokoju? W ciągu trzech miesięcy zgubiłabym kaptur i przynajmniej jeden rękaw.

- Przydałabyś się w naszym zespole projektantów - rzekł z westchnieniem. -

Chcesz zmienić pracę?

- Nie.

- To może dasz się namówić na burgera?

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. A więc nie zrezygnował. Robił minę niewiniątka, ale gdy czegoś chciał, budził się w nim drapieżnik.

- Powiedziałaś już, że nie pójdę z tobą na kolację.

- Zjedzenie hamburgera to żadna kolacja - zauważył. - Zwyczajne badanie rynku. Najinteligentniejsza dziewczyna, jaką znam, może mi pomóc w zaprojektowaniu bluzy.

- Nie jestem najinteligentniejszą dziewczyną, jaką znasz! - O Boże, poczuła się zdegradowana. To prawie jak status dobrej przyjaciółki, która nigdy nie będzie dziewczyną.

- Ależ jesteś.

- To znaczy, że nie znasz zbyt wielu dziewczyn.

- Obydwoje wiemy, że to nieprawda - rzucił bez zająknięcia.

- Nie znasz wielu dziewczyn, które spędzają czas w bibliotece zamiast w pubie Doofus.

- Nie musisz tego mówić takim tonem, jakby to było coś nieprzyzwoitego.

Mam udziały w Doofusie.

Dlatego lokal był tak popularny. Ten facet jest jak król Midas, czego się dotknie... Och, woląta tego nie analizować. Musi być silna.

- Spędzasz czas w bibliotece? - Spojrzał na nią spod gęstych i czarnych rzęs.

Oblała się rumieńcem wstydu, jakby zapytał ją o kolor jej bielizny.

- Powiedziałeś to takim tonem, jakby było w tym coś nieprzyzwoitego. Biblioteka jest piękna. Czy choć raz byłeś w tutejszej bibliotece?

- A ty choć raz byłaś w Doofusie? - odparował.

- Zaczyna padać - zrećcznie zmieniła temat - a ja nie mam odpinanych rękaw-

wów. Muszę już iść. Może spotkamy się kiedyś w bibliotece.

Przytrzymał ją za rękaw. Nic szczególnego, zwyczajne dotknięcie, ale zdarzyło się już drugi raz w ciągu kilku minut. Pewnie miał taki zwyczaj. Ale nieświadoma siła oraz ciepło tego dotyku sprawiły, że serce podskoczyło jej do gardła, poczuła się słaba, bezbronna i ogarnęła ją zdradziecka tęsknota.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosił. - Jedną rzecz. Cokolwiek.

- Właśnie to zrobiłam. Lubię bibliotekę. - Nic dziwnego, że Dylan co miesiąc zmienia kobiety! Zadając to pytanie, patrzył na nią tak przenikliwie, jakby mu naprawdę zależało na odpowiedzi! A przecież ona wie, że to tylko pozory i była wściekła na siebie, że mimo wszystko poczuła się zaszczyciona jego zainteresowaniem.

- Coś jeszcze - dodał.

- Mieszkam z trzema samcami. - On nie musi wiedzieć, że to koty.

Roześmiał się.

- Pewnie masz na myśli koty.

Należy pamiętać, że Dylan potrafi być ostry jak brzytwa.

- Jestem rozwódką - przypomniała mu w nadziei, że zdoła go wystraszyć. A może on podziela opinię, że kobieta, która zaznała przyjemności małżeńskiego łóżka, a potem została jej pozbawiona, jest głodna seksu?

- To naprawdę niespodzianka. Nigdy bym nie zgadł, że jesteś rozwiedziona.

Czyżby wyglądała aż tak źle, że trudno uwierzyć, iż ktokolwiek chciałby się z nią ożenić? Pogratulować.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Wyglądasz na przyzwoitą dziewczynę.

- Rozwiedzione kobiety są nieprzyzwoite? - Zaczerwieniona z wściekłości odwróciła wzrok.

- Przepraszam. - Dotknął jej podbródka. Powinien przestać jej dotykać! - Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Po prostu wyglądasz na taką kobietę, która dotrzymu-

je małżeńskiej przysięgi.

- Miałam taki zamiar - wyznała z większą pasją, niżby chciała.

- A więc to była jego wina.

Nie powinna rozmawiać z Dylanem o sprawach tak intymnych. W dodatku na ulicy.

- Czy zawsze musi być czyjaś wina? - spytała beznamiętnym tonem.

W końcu czy można przewidzieć, jak ludzie zareagują na tragedię? Poroniła, a tak pragnęła tego dziecka! Od tego czasu wszystko zaczęło się psuć.

Czasami, gdy nie mogła spać, dręczyła się pytaniami, czy przypadkiem jej małżeństwo nie zaczęło się psuć wcześniej, a ona tylko miała nadzieję, że dziecko wszystko naprawi. Tak czy owak, jej mąż powoli odsuwał się od niej; jej życie nie przypominało bajki, jaką sobie wymarzyła. Dlatego teraz postanowiła poświęcić się wyłącznie pracy. Praca nie przysparza bólu. I nie pozostawia czasu na uzalanie się nad sobą.

- Chodź ze mną do Doofusa - rzekł łagodnie i przekonującym gestem położył dłoń na jej nadgarstku. - Robią tam fantastyczne burgery.

- Jestem wegetarianką.

- Doprawdy?

- Jeśli pójdę, czy ty przyjdiesz później do biblioteki? - Wyszwoleńczyła rękę z jego uścisku, jakby uciekała przed wężem. Najlepiej samej przystąpić do ataku.

Prawdopodobieństwo, że Dylan zechce odwiedzić bibliotekę, było nikłe. A jednak serce waliło jej tak mocno, jakby czyhało na nią śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Oczywiście. Lubię sprawiać sobie niespodzianki.

No cóż, on ma odpowiedź na wszystko. Zresztą na pewno tam się nie pokaże i co najwyżej wyśle jej bukiet kwiatów.

- Dlaczego to robisz? - spytała, krzyżując ramiona na piersi.

Westchnął i przesunął dłonią po włosach.

- Potrzebuję odmiany - oznajmił, a ona była pewna, że swoją szczerością za-

skoczył samego siebie.

Zaprosił ją, ponieważ znudziły go dziewczyny, z którymi na co dzień się spotykał.

- I chciałbyś mieć nową zabawkę? - odgadła, kręcąc głową.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

- Założę się, że twój mąż na ciebie nie zasługiwał. Nie był wart smutku, jaki ujrzałem w twoich oczach, kiedy wspomniałaś o rozwodzie.

Wypowiadając ten komentarz cichym i poważnym głosem, pokazał się z zupełnie innej strony.

Gdy Dylan żartował i zachowywał się jak chłopiec, jego urok był niebezpieczny. Ale stawał się śmiertelnie, gdy Dylan był poważny, a na jego twarzy pojawiał się wyraz stanowczości i siły.

- Muszę już iść. - Odwróciła się na pięcie.

- Hej, Katie! - Zastąpił jej drogę. - Przepraszam, nie chciałem ci zrobić przykrości.

- Lepiej już idź. Tacy faceci jak ty zawsze sprawiają przykrość takim dziewczynom jak ja.

Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem. Zobaczyła, że jej strzała dosięgła celu.

- Nie każdy mężczyzna przypomina twojego eks - rzekł spokojnie.

- Skąd wiesz? Nie znałeś go... Ani mnie.

W gruncie rzeczy to bez znaczenia, czy Dylan jest podobny do Marcusa. To sobie nie ufała po tym, jak jej życie rozpadło się na kawałki. Nie ufała sobie, czy potrafi dokonać właściwego wyboru, a nie była w stanie ponownie znieść takiego bólu.

Prawdę mówiąc, Dylan w ogóle nie jest podobny do Marcusa. Ma swoje wady, ale nie próbuje ich ukryć, a niekiedy stara się je nawet podkreślać. Sprawia wrażenie człowieka pozbawionego sekretów. No, może poza jedną małą tajemnicą

związaną z bukietem, który co tydzień osobiście dla kogoś wybierał.

Jej uwaga na temat mężczyzn, którzy sprawiają ból dziewczynom, była naprawdę niezasłużona. Dylan należał do jej najbardziej lojalnych klientów. Zawsze był dla niej miły, zabawny i uroczy. Gdy zbiła wazon z różami, pomógł jej pozbierać szkło. Czowała się przy nim ładna - a przynajmniej interesująca - nawet w najgorsze dni. To prawda, że był irytująco pewny siebie, ale nigdy nie przemądrzały.

- Chodź na hamburgera - poprosił. - Żadnych zobowiązań. Obiecuję, że cię rozbawię.

- Jak możesz obiecywać coś takiego?

Ku własnemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że chciałaby się pośmiać. Chciała poczuć się lekko i swobodnie, zrzucić ciężar z serca. Zapomnieć o swoim nieudanym małżeństwie i o tym, że straciła dziecko. Kiedyś była beztroską, roześmianą dziewczyną. Teraz zatęskniła za tym, by znowu choć na krótko się nią stać.

- Zgoda na hamburgera - powiedziała - żebyś nie myślał, że moje życie towarzyskie koncentruje się wyłącznie na kotach. Może zresztą podsunę ci kilka pomysłów na bluzę bez odpinanych rękawów. Ale to wszystko. Jasne?

Skinał głową z jawną nieszczerością.

Spojrzała na zegarek. Zdaży jeszcze wpaść do galerii handlowej. Jeśli jego zaproszenie jest podyktowane współczuciem, nie ma nic lepszego jak nowe džinsy i obcisła bluzka, by przekonać nie tylko jego, ale również siebie, że wcale nie jest ono jej potrzebne.

- Spotkamy się za godzinę. W Doofusie.

- Doskonale. - Uśmiechnął się leniwym, zmysłowym i szczerym uśmiechem, którym czarował tysiące kobiet przed nią.

Dopiero w zaciszu swojego samochodu, z dala od jego hipnotyzującego magnetyzmu, przyznała się w duchu do prawdy, której on nie zna. A może zna?

Zadurzyła się w nim! To dlatego codziennie obserwuje go, jak biega. Dlatego

z taką łatwością zdołał ją przekonać. Przysięgała sobie, że nie pójdzie z nim na kolację, a już po chwili złamała przysięgę.

Nie może tego zrobić...

Co będzie, jeśli zakochają się w sobie? Jeśli wszystkie jej wyśnzione marzenia się ziszczą? A potem, jeśli znów przegra?

- Nie przeżyję kolejnej straty - szepnęła.

O wiele bezpieczniej jest podkochiwać się w nim z oddali. Musi wreszcie zrozumieć, że nie potrafi właściwie oceniać mężczyzn. Kiedyś sądziła, że Marcus Pritchard zapewni jej bezpieczeństwo i stabilizację. Teraz Dylan McKinnon wydawał jej się niebezpieczny, ale jednocześnie budził w niej chęć przygody.

Niektórzy posiadają znakomity instynkt. Odróżniają złych ludzi od dobrych, wiedzą, na którego konia postawić, potrafią nawet przeczuć katastrofę samolotu.

Katie do nich nie należała. Miała być mężatką na zawsze, a teraz jest rozwódką. Gdy po raz pierwszy podążyła za głosem serca, skończyło się to katastrofą. Ale czy rzeczywiście podążyła za głosem serca? Może tylko rozpaczliwie pragnęła założyć rodzinę, ponieważ jej własna się rozpadła?

Czy myśląc o obcisłych dzinsach i bluzce z dekoltem, chciała zrobić wrażenie na Dylanie? Musiała zwalczyć ten impuls i postąpić dokładnie odwrotnie! Nie potrzebuje poprawiać stanu swojej garderoby. Całkowicie zbagatelizuje tę sprawę i nie zmieni swego wyglądu.

Toteż zamiast do centrum handlowego, pojechała prosto do domu. Trzy koty, Motley, Crew i Bartholomew, powitały ją na progu z entuzjazmem, na który mogła sobie zasłużyć tylko prawdziwa kocia mama.

Chociaż było jeszcze wcześnie, wyciągnęła z szafy najbrzydszą, a jednocześnie najwygodniejszą flanelową piżamę, podgrzała zamrożoną pizzę w mikrofalówce i wyszukała numer do Doofusa.

- Czy zastałam Dylana McKinnona?

- Kto mówi? - Barman wypowiedział to pytanie tak znużonym głosem, jakby

odbierał dziesiątki podobnych telefonów.

- Miałam się z nim spotkać za kilka minut. Proszę mu powtórzyć, że coś mi wypadło.

- Wystawia pani do wiatru Dylana McKinnona? Kto mówi? Leticia Manning? Nazwisko młodej i bardzo pięknej kanadyjskiej aktorki przypomniało jej, z jakimi kobietami Dylan zwykł się umawiać. Katie Pritchard jest zwyczajną dziewczyną, on zaś playboymem. Powinna o tym pamiętać.

- Będzie wiedział, kim jestem! - odparła ostro, ciskając słuchawkę.

Ugryzła kawałek pizzy. Smakowała jak tektura. Odłamała następny kęs i poczęstowała Bartholomew, który po chwili wskoczył jej na kolana.

Co w tym złego, że się kocha koty?

Jutro wyśle Dylanowi na przeprosiny bukiet kwiatów. On to robi przez cały czas, czyż nie?

Dylan pociągnął łyk piwa, odłożył na bok kulę bilardową i zerknął w stronę drzwi. Poczucie triumfu i zadowolenia z siebie, że tak łatwo udało mu się skłonić Katie do zmiany zdania, powoli się ulatniało. Przyjdzie czy nie? Niepokoiło go własne zdenerwowanie. Robi się coraz później, a jej nie ma. Nie posądzał Katie, by spóźniała się celowo. Rozpadało się na dobre. Jezdnie są śliskie. Czy przy swoim braku koordynacji da sobie radę za kierownicą?

- Hej, szefie! - zawołał Cyrus. - Twoja przyjaciółka nie przyjdzie. Właśnie dzwoniła.

Rafe Miller podniósł głowę znad stołu bilardowego i zarechotał z rozbawieniem.

- No co, Dill, wystawiła cię!

Dylan lubił przychodzić do Doofusa, ponieważ była to knajpa pełna ludzi, których od dawna znał. Na nikim nie robiło tu wrażenia, że jest celebrytą.

Po raz pierwszy tego żałował.

- Spotykasz się z Leticją Manning? - spytał Cyrus.

Rozległ się ogólny śmiech.

Dylan popatrzył na niego ze złością.

- Bo mówiła takim przemądrzałym tonem, zupełnie jak Leticia Manning.

Nie było wątpliwości, kto dzwonił.

- Rezygnujesz z zamówienia? - spytał dobrodusznie Cyrus.

- Do diabła, nie! - Pokazałby, że jest nią zainteresowany, a przecież nie był.

Chociaż na widok bólu w jej oczach, gdy wspomniała o rozwodzie, przez sekundę myślał, że jest inaczej. Naprawdę zależało mu, żeby się trochę rozerwała, a nie tylko chciał udowodnić swojej siostrze - i sobie - że potrafi umówić się z przyzwoitą dziewczyną.

A może dała mu nauczkę? Wysyłając w jego imieniu kwiaty, wiedziała, że czasami nie stawia się na spotkania. Na przykład wczoraj zawiódł Heather. Może Katie chciała mu pokazać, co się wtedy czuje?

To fakt, że nie czuł się rewelacyjnie.

Niezależnie od tego, czy miała taki zamiar, dziś wieczorem czegoś się nauczył. Nie czuł się dobrze, gdy musiał czekać. Porzucony? Wystawiony do wiatru? Niewyobrażalne, że to Katie dała mu tę nauczkę!

A jednak wątpił, by zrobiła to celowo. Była taka wystraszona, zwyczajna i prostoduszna. Małżeństwo ją wypaliło.

Pomyślał o swoich rodzicach. Może z upływem czasu małżeństwo wypala wszystkich? Dlatego przez cały ubiegły rok starał się nie podejmować zobowiązań.

Katie musiała się tego nauczyć. Można przecież żyć, nie narażając się na zawód miłosny. Na pewno potrafi ją rozśmieszyć, w to nie wątpił. Pokaże jej, że śmiech nie boli.

Przeleciało mu przez głowę, że jeśli naprawdę chce ją głębiej poznać, będzie musiał więcej myśleć o niej niż o sobie. Będzie musiał stać się lepszym człowiekiem.

I oto w Doofusie, w powietrzu przesyconym cierpkim zapachem piwa, wśród

stukotu bilardowych kul, Dylan McKinnon doznał objawienia.

To właśnie próbowała mu powiedzieć siostra; że nie powinien iść na łatwiznę, że zbyt mało od siebie wymaga. Żeby zjeść kolację z przyzwoitą dziewczyną, musi sam stać się przyzwoitym człowiekiem, takim, który potrafi przedłożyć interesy drugiej osoby ponad swoje własne, który odważy się opuścić swoją bezpieczną skorupę.

Jego siostra zna bolesną prawdę. Dylan McKinnon uchodził za nieustraszonego śmiałka, ale w stosunkach z ludźmi, na których mu zależało, było całkiem inaczej.

Może i dobrze, że Katie nie przyszła na spotkanie. Dała mu czas do namysłu. Dylan nie chciał być lepszym człowiekiem. Lubił siebie, czuł się dobrze w swoim wcieleniu. Nie nadawał się na faceta, którzy wymaże przelotny wyraz smutku z oczu kwiaciarki.

- Cy, stawiam wszystkim drinka! - zawołał.

- Co świętujemy? - spytał podejrzliwie Cyrus.

- Wolność! - Dylan właśnie przypomniawszy sobie, że dziś zamówił pożegnalny bukiet dla Heather.

To oświadczenie powitano głośnymi gwizdami i okrzykami radości.

Ale choć naprawdę bardzo się starał wejść w radosny nastrój, gdzieś z tyłu głowy dźwięczało słowo, które go niepokoiło. Strach.

O nie, tak łatwo się nie podda. Nawet jeśli, do diabła, będzie musiał stać się lepszym człowiekiem.

Gdy następnego dnia rano wszedł do swego gabinetu, na biurku stał kolorowy bukiet kwiatów. Otworzył bilecik. „Przepraszam, że nie mogłam przyjść. Pozdrowienia. K.”.

Cóż, przynajmniej przez rok czegoś ją nauczył!

Usiadł i zamyślił się. Najwyraźniej hamburger w barze nie przemawia do Katie wystarczająco. Zawsze polegał na swym uroku osobistym, gdy chciał przekonać

kobietę, aby dostosowała się do jego upodobań. Ale Katie nie jest podobna do większości kobiet. Potrzebował planu B.

Czemu Katie nie będzie w stanie się oprzeć? To doprawdy poniżające, że on sam jej nie wystarcza! Dylan McKinnon przyzwyczał się do kobiecego uwielbienia.

Tak czy owak, Katie rzuciła mu rękawicę.

Czy to się jej spodoba, czy nie, pomoże jej wrócić do prawdziwego życia. Udowodni swojej siostrze - a może nawet i sobie - że potrafi być przyzwoitym człowiekiem.

W południe stał się szczęśliwym posiadaczem dwóch biletów na cieszące się niebywałym zainteresowaniem wydarzenie sportowe w Kanadzie - mecz hokejowy gwiazd NHL.

Gdy pojawił się w kwaciarni, Katie podniosła wzrok, a potem szybko go spuściła.

- Przepraszam za wczoraj. - Zaczerwieniła się. - Coś mi przeszkodziło.

- Co takiego?

Popatrzyła na niego zirytowana, że ośmiela się ją naciskać.

- Zdrowy rozsądek.

Przypomniał sobie swój cel. Jedna randka, może dwie, i znów poczuje się atrakcyjna. Pewna siebie. Szczęśliwa. Sądził, że taka właśnie jest. Pomoże jej zaryzykować.

Uważał, że nigdy nie była piękna, ale miała naturalny urok i wdzięk wykraczający poza aktualne trendy i mody. Zawsze dumnie nosiła głowę, jakby nie obchodziło jej, co myślą inni.

On zaś raz w życiu zachowa się jak rycerz i pokaże jej, że nieudane małżeństwo to jeszcze nie powód, by dać się pogrzebać za życia.

Przyglądał jej się uważnie. Dzisiaj chyba szczególnie się postarała, żeby wyglądać nieatrakcyjnie. Miała na sobie bezkształtną szeroką jak namiot sukienkę, a

włosy mocno ściągnięte w ogonek. Ani śladu makijażu, choć musiał przyznać, że właściwie go nie potrzebowała.

- Dziękuję za kwiaty - powiedział.

- Pomyślałam, że uznasz to za zabawne.

- Ha, ha, ha.

Znów spojrzała na niego za złością. W jej wielobarwnych oczach pojawiły się zielone iskierki.

- Czym mogę dzisiaj służyć? - zapytała. - Od ponad dwunastu godzin Heather to już historia. Ktoś inny na celowniku?

Gdyby jej powiedział, że to ona, pewnie zaczęłyby uciekać, gdzie pieprz rośnie. Dogoniłby ją dopiero na Alasce, a wtedy rzuciłaby się do Morza Beringa i zaczęła płynąć. Taka reakcja ze strony kobiety była dla niego niezwykłym doświadczeniem.

- Och, nikt. Na razie robię przerwę.

Była zajęta układaniem kwiatów, ale podniosła głowę i popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Ach tak - odparła, nie ukrywając sceptycyzmu.

- Posłuchaj, co wymyśliłem. Skoro będę wolny, mogłabyś się ze mną umówić. Chcę cię zaprosić na mecz gwiazd NHL w przyszły weekend w Toronto.

Zdobycie biletów na to spotkanie graniczyło z cudem, oczekiwał więc wyrazu zachwytu na jej twarzy. Może nawet wyjdzie zza kontuaru i go uściśnie?

Zaskoczyło go, jak bardzo tego pragnął.

Ale zamiast okazać entuzjazm, Katie skrzywiła się, ponieważ ukłuła się w palec kolcem róży.

- Na co? - Włożyła palec do ust i zaczęła ssać.

Naprawdę nie musiała używać szminki. Samo obserwowanie, jak ssie palec, było erotycznym doświadczeniem.

- Nie masz plastra? - zasugerował odrobinę ostrym tonem.

- To tylko zwykłe ukłucie. A więc na jakie zawody masz bilety?

- Hokejowe. - W jakim ona żyje świecie, żeby tego nie wiedzieć! - Kanadyjski sport narodowy - wyjaśnił, gdy zauważył jej puste oczy. - Nasza namiętność i rozrywka podczas długich zimowych miesięcy. Znasz tę grę?

Na szczęście wyjęła palec z ust i wróciła do układania kwiatów.

- Aha.

Gdyby wiedziała, ile go kosztowało zdobycie tych biletów, jej głos nie zabrzmiałby tak beznamiętnie.

- Najlepsi gracze z Konferencji Zachodniej i najlepsi zawodnicy ze Wschodniej grają przeciwko sobie. Wszystkie gwiazdy ligi jednocześnie na lodzie... - Zaczął wymieniać nazwiska.

Popatrzyła na niego tak, jakby rozwodził się nad wyborem płatków śniadaniowych.

- Wszyscy chcą zdobyć bilety na ten mecz - burknął, czując, że traci cierpliwość. Na litość boską, zachowywał się jak prawdziwy rycerz. Dlaczego ona tego nie widzi?

- Aha - powtórzyła, wykazując się irytująco ograniczonym słownictwem.

- Pewnie mógłbym je sprzedać przez internet po tysiąc dolców.

- Ach tak? A więc nie trać okazji.

- To nie żadna strata - odrzekł. - Będziesz się dobrze bawić. Gwarantuję.

- Nie możesz tego zagwarantować.

- Dlaczego zwyczajna rozmowa z tobą przypomina przeprawę przez pole minowe?

- Ponieważ na twój widok nie mrugam powiekami i nie patrzę ci w oczy jak wierny labrador.

A więc o to chodzi!

- Katie, nie bądź niezdolna. Zdobyłem bilety na wspaniały mecz. Wiem, że w

głębi serca chcesz go zobaczyć. Po prostu zgódź się.

- Nic nie wiesz o moim sercu.

Wprost przeciwnie. Wczoraj wieczorem w ułamku sekundy dowiedział się o nim bardzo dużo. Dlatego stał tu przed nią i cholernie starał się być przyzwoitym facetem.

- Właśnie twoje serce miałem na myśli, mówiąc o polu minowym.

- Posłuchaj, Dylan - rzekła tonem, jakim przemawia się do małego dziecka - wiem, że większość dziewczyn byłaby zachwycona, nawet gdybyś im zaproponował udział w wyścigach psich zaprzęgów nago w środku zimy, ale ja nie lubię hokeja.

- A co sądzisz o wyścigu psich zaprzęgów nago?

Znowu ten rumieniec.

- Och, daj spokój. Nie chcę nigdzie z tobą iść!

- To boli.

Zauważył, że się odrobinę zmieszała. Czyżby dostrzegła w nim wreszcie ludzką istotę?

Ale wahanie trwało ledwie chwilę.

- Nie próbuj udawać, że moja odmowa sprawia ci przykrość. Po prostu wybierz następną z długiej listy kobiet czekających na twoje skinienie.

- Powiedziałem ci, że robię przerwę.

- A ja powiedziałam, że z tobą nigdzie nie pójdę!

- Podaj mi choć jeden poważny powód.

- Dobrze. Randka z tobą staje się sprawą publiczną. Nie chcę widzieć swojego zdjęcia na pierwszej stronie „Morning Globe”, nie chcę czytać w plotkarskich kolumnach rozważań na temat tego, jak się ubieram i czeszę.

- Znajdziemy jakieś zaciszne miejsce...

- Nie! Nie chcę żadnych zmian. Lubię swoje życie. Może ci się wydawać, że jest monotonne i nudne, ale ja je lubię.

No cóż, zrobił wszystko, co było w jego mocy. Próbował wyrwać dziewicę z dna rozpaczki i nie udało się. Skoro nie chce, by ją ocalił, to trudno. Wróci do swego stylu życia, zadowolony z siebie, że w ogóle próbował.

Prawie go przekonała. Ale gdy patrzył, jak umieszczała ostatnią różę w bukiecie, znów się ukłula.

Zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok.

Wtedy zorientował się, że kłamała. Kaleczyła się tylko wtedy, gdy była zdenerwowana.

Ona nie lubi swojego obecnego życia. Choć osiągnęła stabilizację, w gruncie rzeczy chce od życia czegoś więcej - pragnie fajerwerków, nagłych olśnień, wzruszeń, od których jej serce zabiłoby szybciej.

Ale bała się mieć nadzieję.

A on był coraz bardziej zdeterminowany, by jej tę nadzieję ofiarować.

Wrócił do biura i położył bilety na biurku Margot.

- Zrób mężowi niespodziankę - rzekł szorstko.

Na progu gabinetu odwrócił się.

- I dowiedz się, na czym polega doskonała randka. Nie dla faceta, dla dziewczyny. Czemu żadna kobieta nie jest w stanie się oprzeć? Popytaj przyjaciółki. I mi powiedz.

Margot popatrzyła na niego, jakby stracił rozum. Zniknął w gabinecie, z trzaskiem zamykając drzwi.

Później, aby pokazać Pannie Przemądrzałej z sąsiedztwa, co traci w dziedzinie rozrywki, wsiadł na motocykl i przejechał na tylnym kole dokładnie przed jej oknem. Na wypadek, gdyby nie zauważyła pierwszego popisu, zrobił to jeszcze raz. Na dokładkę zawrócił i powtórzył występ.

Jak zwykle przewidziała, co on zrobi, bo okna kwaciarni pozostały szczelnie zasłonięte.

ROZDZIAŁ TRZECI

Katie słyszała nadjeżdżający motocykl. Ogłuszający ryk silnika świadczył, że Dylan znów zamierza postawić maszynę na tylnym kole.

Stanowczym ruchem zaciągnęła zasłony. Na litość boską, czy temu facetowi nikt dotąd nie odmówił?

Wystarczy na niego spojrzeć. To prawdopodobne, że nikt mu nie odmówił. A przynajmniej żadna kobieta, bo musiałaby działać wbrew swemu ciału, instynktom, wbrew fizjologii. I na dodatek zachować kontrolę nad emocjami.

Odmówienie czegokolwiek Dylanowi graniczyłoby z cudem. Na domiar złego on doskonale zdaje sobie z tego sprawę! Pamiętała, jak pochylił się nad ladą i marzylielskim tonem, patrząc jej prosto w oczy, jakby czytał w jej myślach, powiedział: „Wiem, że w głębi serca chcesz powiedzieć tak”.

Oczywiście, że chciała się zgodzić. Na szczęście potrafiła zastosować odpowiednią taktykę. Instynkt samozachowawczy podsunął na czas zasadę numer jeden: rób coś przeciwnego, niżbyś chciała zrobić.

To jest konieczne, żeby przetrwać. Nie wiadomo dlaczego pojawiła się na celowniku Dylana. Uparcie przekonywał, że może ją uszczęśliwić.

Ale mecz hokeja? Uważała hokej za barbarzyństwo, za nową wersję walk gladiatorów. Gdyby się zgodziła tylko po to, żeby wyjść mu naprzeciw, zaprzeczyłaby samej sobie.

Zresztą złożył tę propozycję w taki sposób, że aż się prosiło, by mu odmówić. Obecnie nie spotykał się z żadną kobietą, a więc randka z nią byłaby pewną odmianą, interesującym przerywnikiem, prawda?

Dziewczyna powinna mieć swoją dumę. Katie miała jej pod dostatkiem. Trzeba dużo samozaparcia, by przyjechać do małego miasteczka po nieudanym małżeństwie i zacząć życie od początku. Wiedziała również, że jej instynkt samozachowawczy nie jest zbyt silny. Jeszcze zakocha się w tym mężczyźnie, i co wte-

dy? Raz w życiu zdołała się pozbierać, ale po drugiej klęsce może się nie podnieść.

Podczas minionego roku zdążyła trochę poznać Dylana. Był najślawniejszym obywatelem Hillsboro. Miał wiele dzikich i szaleńczych pasji, ale żadna nie fascynowała go zbyt długo. Za to wszystkie jego choćby przelotne fantazje - począwszy od rajdów motocyklowych po spływy potokami górskimi - były sumiennie dokumentowane przez miejscową prasę. Potrzebował zmian i mnóstwa podniet, a jeśli ich nie znajdował, ruszał dalej. Tak samo wyglądało jego życie uczuciowe. Na podstawie ilości wysłanych bukietów Katie z precyzją liczyła jego podboje.

Każdej dziewczynie wysyłał cztery bukiety. Pierwszy: „Miło było cię poznać, jestem zainteresowany”. Drugi, zwykle zaraz po pierwszym, z podziękowaniem za wspaniały seks. Trzeci: „Przepraszam, że zapomniałem” i czwarty na pożegnanie. Ten cykl, który normalnemu człowiekowi zabrałby rok - a przynajmniej kilka miesięcy - on przerabiał w kilka tygodni.

Katie zamieszczała w bukietach tajemne ostrzeżenia, na przykład wplatała w nie chabry oznaczające chęć pozostawania w stanie kawalerskim, lecz jej wysiłki były próżne. Nikt dziś nie przywiązuje wagi do znaczenia kwiatów.

Jeden bukiet Dylan co tydzień osobiście układał i doręczał. Nigdy nie zdradził, dla kogo jest przeznaczony. Instynktownie wybierał białe chryzantemy - symbolizujące prawdę, oraz stokrotki oznaczające czystość i wierną miłość, choć naturalnie nie miał pojęcia o ich wymowie. O nic nie pytała, ale intuicyjnie czuła, że nie jest to bukiet z gatunku romantycznych.

Jedyną trwałą pasją w życiu Dylana był biznes. Tu jego energia i niespokojna natura znajdowały ujście, przyczyniając się do kolejnych sukcesów niezwykle dochodowego przedsiębiorstwa, jakim było Daredevils.

Dylan nieustannie testował nowe materiały, rozwijał kolejne linie produkcyjne, wprowadzał innowacje. Podejmował ryzyko, bo kochał wyzwania związane z nowymi śmiałymi projektami, a to oznaczało, że zawsze był w awangardzie.

Silnik znów zawył. Katie zakradła się do okna i leciutko uchyliła roletę.

Dylan w skórzanej czarnej kurtce, w dżinsach i bez kasku nie wyglądał na biznesmena. Raczej uosabiał odwiecznego buntownika - rozbójnika lub pirata - dla którego kobiety zawsze traciły głowy.

Rozpędził motocykl do niebezpiecznej prędkości, włosy przywarły mu do głowy, zmrużone oczy przypominały szparki. Z nonszalancją, jakby bez wysiłku, oderwał przednie koło maszyny od podłoża. Wyglądał jak rycerz na rumaku, który stanął dęba. Na moment zastygł w czasie - dziki, silny, arogancki - a potem przednie koło uderzyło o ziemię, a on miękko przyjął wstrząs i odjechał.

Do diabła! Zachowuje się jak niedojrzała nastolatka. Rozsądek protestował, ale serce biło mocno, a zmysły reagowały odwieczną tęsknotą na widok tego swojego tańca godowego.

- Powinnam zadzwonić na policję - mruknęła na przekór sobie. - To niebezpieczne! Za jazdę bez kasku grozi mandat.

Właśnie dlatego mu odmówiła. Gdyby kiedykolwiek wsiadła na motocykl bez kasku, obawa, że mogłaby zranić się w głowę albo dostać mandat, zepsułaby jej całą przyjemność. A jemu ryzyko sprawiało radość i dawało podniecie.

Pojawił się znów, ale zamiast podnieść motocykl, zwolnił i zaparkował przed jej sklepem.

Powinna odejść od okna, a tymczasem stała jak zaczarowana, przyglądając się, jak Dylan zsiada z motocykla. Modliła się, aby wrócił do pracy.

Zadzwieczał brzęczyk w drzwiach. Udając, że poprawia aranżację kwiatów na wystawie, położyła dłoń na kiściach białego wrzosu, który obiecywał ochronę, ale także mógł oznaczać spełnienie marzeń...

- Ciemno tu, moja droga Katie.

Zerknęła na niego, a potem szybko odwróciła wzrok. Co za niespokojna natura! Patrzył na nią tak intensywnie, że mogła utonąć w tych jego szafirowych oczach.

- Kwiaty na wystawie więdły. Musiałam zasłonić okna.

- Aha. Chodź ze mną na wagary. Przejedziemy się motocyklem.

Kwiat złamał jej się w ręce. Różowy goździk, pełen różnych znaczeń: fascynacja, miłość kobiety, nie mogę zapomnieć, zawsze o tobie myślę.

Upuściła kwiat na podłogę.

- Oszalałeś? - wyjąkała. - Pokazałeś już całemu miastu, jak jeździsz na tym motorze!

- Podglądałaś? Mógłbym przysiąc, że rolety były zaciągnięte.

Poczuła się jak przyłapaną na wykradaniu ciasteczek ze spiżarni. Dylan podniósł kwiat i, patrząc jej nadal w oczy, głęboko wciągnął w nozdrza jego zapach. Na pewno nie znał ukrytego znaczenia goździków. Podał jej kwiat, ale pokręciła głową, jakby nie miał dla niej żadnego znaczenia.

Bezwiednie wsunął goździk w dziurkę od guzika swojej skórzanej kurtki. Który mężczyzna miałby tyle polotu?

- Możemy wyjechać z miasta - powiedział, ignorując jej odmowę. - Pola zaczynają się zielenić, na drzewach pojawiają się pąki. Na pewno zobaczymy bazie. A także kaczki, cielaczki, żrebaki...

Gdy aksamitnym głosem malował obraz świata, który tak chętnie by z nim oglądała, jej wola zaczynała słabnąć. Wiedziała, że nadeszła wiosna, a wraz z nią kwiaty, ale w tym roku nie wiedzieć czemu przeoczyła jej pierwszy powiew, ten cudowny czas, gdy na szarościach i brązach z wolna pojawia się cień zieleni, gdy rośliny budzą się ze snu i wypuszczają pierwsze pączki, a nagłe wiosenne burze ustępują miejsca słońcu. To była pora nadziei.

Raptem dopadła ją myśl, że od bardzo długiego czasu umykają jej istotne rzeczy. Dylan McKinnon właśnie jej to unaoczniał.

Wyglądał tak pięknie z potarganymi wiatrem włosami, gdy wpatrywał się w nią intensywnym wzrokiem.

Wyobraziła sobie, że jedzie motocyklem, wibracje potężnego silnika wnikają w jej ciało, a ona obejmuje Dylana rękami w pasie, przytula się do jego silnych ple-

ców, odurzona zapachem skóry i wiatru...

- Zgódź się - wyszeptał. - Przecież chcesz zrobić coś dzikiego i szalonego.

Tak. Tak. Tak.

- Nie! - Rób odwrotnie, niżbyś chciała. - Już raz zrobiłam coś dzikiego i szalonego. To był błąd.

Obydwoje wiedzieli, że ma na myśli swe małżeństwo.

- W życiu nie da się uniknąć błędów, Katie.

- Do diabła, ale można próbować. - To pod jego wpływem przekląła. Jeśli sprawy posuną się dalej, nie wiadomo, co jeszcze zrobi. Stanie się inną kobietą.

Zmysłową. Radosną. Pełną życia. Gotową zaryzykować. I kończącą ze złamanym sercem!

- Uczymy się na błędach, Katie - tłumaczył. - Dzięki temu stajemy się lepsi i ruszamy dalej.

- Ty to masz wspaniałe życie! - westchnęła.

Po jego twarzy przebiegł cień smutku, co ją zaskoczyło. Ale może tylko jej się zdawało, bo zaraz uśmiechnął się szeroko, znów roztaczając niebezpieczny urok.

- Jakie ty popełniłeś błędy? - spytała.

O Boże, dała się wciągnąć w tę rozmowę!

- Skok na spadochronie kilka miesięcy po podpisaniu kontraktu z Blue Jays chyba nie należał do moich najlepszych decyzji.

Czy dlatego przed chwilą posmutniał?

- Dlaczego to zrobiłeś? - Całe Hillsboro o tym plotkowało.

Zgodził się skoczyć, aby zebrać fundusze na rzecz lokalnego oddziału organizacji charytatywnej Big Brothers. Coś jednak poszło źle. Złamał rękę w trzech miejscach i musiał zakończyć karierę miotacza, zanim jeszcze naprawdę się zaczęła. Hillsboro pograżyło się w żałobie.

- Ponieważ miałem na to ochotę. Jego brak żalu był rozbrajająco szczery.

- Ochota to nie jest najlepszy drogowskaz w życiu - zawyrokowała przemydrzale. - Pod wpływem impulsu dokonałeś wyboru, który zrujnował twoją karierę.

Bezwiednie dotknął jednej z róż na wystawie. A to dopiero niespodzianka! Czerwona róża oznacza namiętność. Dylan gładził jej płatki z wielką czułością. Katie zaczynała się łamać. Ustąpić? Może byłoby warto?

Ten jeden raz ulec impulsowi i poigrać z najbardziej niebezpiecznym żywiołem - z namiętnością.

- Być może tamta porywcza decyzja zniszczyła moją karierę - przyznał. Na szczęście zostawił różę w spokoju! - Wolę myśleć, że to jedno z tych wydarzeń, które pozwoliło mi odkryć moje prawdziwe powołanie. Jak widzisz, dotarłem tu, gdzie teraz jestem.

Potrafił jednoznacznie odciąć się od przeszłości i nie oglądać za siebie. Nie chciała tego wiedzieć. To ją przestraszyło, ponieważ nieuchronnie przypominało o jej własnej przeszłości. I o życiu, któremu powinna nadać nowy bieg, zamiast przed nim uciekać.

Zdobyła się na wysiłek i powiedziała:

- Nie pojedę z tobą na przejażdżkę. Jeszcze mi życie miłe.

- Doprawdy? - spytał z lekkim niedowierzaniem. - Doprawdy, moja droga Katie? - Po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Pytanie zawisło w powietrzu.

Czy ona naprawdę lubi ten miły, bezpieczny i przewidywalny świat, który sobie stworzyła? Czy wystarczają jej kwiaty, koty, biblioteka oraz wizyty u matki?

Dokonała wyboru. Czy słusznie? Perspektywa przejażdżki na motorze była bardzo kusząca. Wyobraziła sobie wiatr smagający jej twarz, ciepło słońca na policzkach i radość w sercu, gdy gnałaby na motorze, dla bezpieczeństwa mocno przytulona do Dylana. Poczowała żal, że zabrakło jej odwagi.

Ale czy można mówić o bezpieczeństwie w towarzystwie Dylana McKinnona?

A potem jakiś wewnętrzny głos podszeptał: a może bezpieczeństwo jest trochę przereklamowane?

Och, wiedziała, że to dziecinada, ale nieoczekiwanie doszła do wniosku, że go nie cierpi. Tak jest bezpieczniej. O wiele bezpieczniej, niż się w nim zakochać. Albo w kimkolwiek innym...

Przyszło jej do głowy, że nawet jej okropny strój go nie zniechęcił. Musi się bardziej postarać. Jutro włoży luźną hinduską sukienkę. I przeszuka kufer na strychu. Pełno tam różnych cudaczných ciuchów z minionych lat.

Podjezwiała, że jutro Dylan znów do niej wpadnie. Ale skoro go nie cierpi, dlaczego tak bardzo na to czeka?

Wspaniałe życie, pomyślał kilka dni później Dylan, odkładając słuchawkę po porannym telefonie do domu opieki. Przypomnił sobie, jak Katie go oceniła. Pod pewnymi względami miała rację, ale istniała też druga prawda.

Oddałby wszystkie sukcesy za jeden dzień spędzony z matką, jak za dawnych dobrych lat. W zeszłym roku choroba Alzheimera dokonała w jej mózgu dalszych spustoszeń. Ojciec podjął wówczas dramatyczną decyzję o umieszczeniu jej w domu opieki.

Wszystko, w co Dylan wierzył, legło w gruzach. Dotąd żył w przekonaniu, że kiedyś założy szczęśliwą rodzinę i wychowa dzieci. Przysięgnie wybranej kobiecie wieczną miłość i dochowa przysięgi. Wierzył, że będzie taki jak jego ojciec. Ojciec go jednak zawiódł. Dobrze, że przynajmniej matce to uczucie zostało oszczędzone. Pograżona w chorobie nie była świadoma jego zdrady. Właściwie niczego nie była już świadoma. Jedynie widok kwiatów, które Dylan przynosił co tydzień, zapalał w jej pustych oczach iskry. Niestety, tylko na chwilę.

Rozległo się pukanie, potem w drzwiach stanęła Margot.

- O, przepraszam. Jakiś problem?

Margot naprawdę miała intuicję, co go wcale nie cieszyło. Nie lubił, gdy ludzie z łatwością odczytywali jego nastrój. Czuł się wtedy dziwnie bezbronny. Katie

również zdradza niepokojącą umiejętność dostrzegania tego, co leży pod maską jego nieposkromionej odwagi. Nie powinien o tym zapominać.

Musi być czujny i lepiej ukrywać swoje myśli.

- Nic podobnego - rzekł z uśmiechem i wskazał wiszący na ścianie kosz. - Parę razy nie trafiłem. Wiesz, jak tego nie znoszę.

- Przyniosłam informacje, o które prosiłeś. - Margot z nietypowym dla siebie wahaniem położyła przed nim plik papierów.

Nie pamiętał, o co chodziło. Może o nowy model bluzy do joggingu? Zaintrygowany sięgnął po pierwszą kartkę i wzdrygnął się, czytając tytuł: „Moja wymarzona randka z Dylanem McKinnonem”.

Margot musiała go źle zrozumieć... Nie pamiętał, co dokładnie jej powiedział.

O rety, Kate Pritchard naprawdę dała mu do wiwatu!

- Dziękuję - powiedział, a Margot z wyrazem osobliwego zadowolenia na twarzy pozostawiła go sam na samą z tą frapującą lekturą.

Były to wynurzenia różnych kobiet - Bóg raczy wiedzieć, przyjaciółek Margot, a może przypadkowo spotkanych na ulicy - które z ogromną chęcią udzielały intymnych informacji o sobie oraz o tym, jak chciałyby spędzać wolny czas z mężczyzną.

Miał przed sobą wydruki komputerowe, ale także notatki odręczne, kilka pachniało nawet perfumami. Jakaś niezwykle oryginalna osoba spisała swoje pomysły czerwonym mazakiem na parze majtek. Dylan szybko wrzucił je do kosza i chciał zrobić to samo z resztą, ale wtedy przemknęło mu przez głowę, że może znajdzie tam jednak jakąś inspirację czy pomysł, dzięki którym zdoła otworzyć fortecę, w której obwarowała się Katie.

Zaczął czytać „Wymarzoną randkę z Dylanem McKinnonem”. Tekst miał formę szkolnego wypracowania, ale jego treść była szokująca. A przecież nie należał do świętoszków. Pospiesznie zgniótł kartkę i wyrzucił do kosza, w którym już leżały majtki.

Po chwili zreflektował się. Jeśli Katie jeszcze bardziej go sfrustruje, wieczór z Ursulą na łóżku wodnym w towarzystwie pojemnika z bitą śmietaną w spraju może podziałać jak balsam.

Niektóre pomysły nie były wcale złe. Na przykład noc w lodowym hotelu w Quebecu.

Nawet by mu w głowie nie powstało zaproponować Katie, aby spędziła z nim noc, ale wycieczka do hotelu z lodu i wódka z lodowych kubków - to brzmi atrakcyjnie. Zwłaszcza podobał mu się pomysł poczęstowania Katie czystą wódką. Przynajmniej dowiedziałby się, co ta kobieta naprawdę myśli.

Uczepił się tego pomysłu, ale po chwili przypomniał sobie, że nadeszła wiosna i hotel z lodu pewnie zamienił się w kałużę błota. Zostawi ten pomysł na przyszły rok.

Przyszły rok? Tak długo zamierza przekonywać Katie? Przypomniał sobie jej upartą minę, gdy zaprosił ją na przejażdżkę motocyklem. Westchnął. Na wszelki wypadek zostawi kartkę z tym pomysłem.

Pojawiła się znów Margot.

- Czy o to ci chodziło? - spytała niepewnie, gestem wskazując na rozrzucone papiery. - Kiedy poprosiłeś, żebym zrobiła sondaż wśród moich przyjaciółek na temat idealnej randki, nie byłam pewna, co masz na myśli.

Ursula jest przyjaciółką Margot? O Boże!

- Po prostu chodziło mi o garść pomysłów - powiedział z ożywieniem. - Nie dla mnie osobiście. Pomyślałem, że firma powinna lepiej poznać gusta kobiet... Co myślą, co lubią, jakie są ich romantyczne pragnienia. Strategia marketingowa, no wiesz...

Patrzyła na niego z lekkim zdumieniem.

- Zawsze mi się wydawało, że doskonale wiesz, co lubią kobiety.

- Potrzebujemy oryginalnych pomysłów. Spojrzenia ze świeżej perspektywy.

- Nie chodzi wcale o biznes, prawda? - Margot uniosła brwi i wsparła rękę na

biodrze.

Odchrząknął i popatrzył na nią ze złością. Potem zaczął rzucać piłki do kosza przymocowanego nad drzwiami.

- Dziwnie się zachowujesz - skonstatowała Margot.

- To znaczy jak? - burknął.

Drugi raz nie trafił. Nie przydarzyło mu się to od dobrych trzech miesięcy.

- Nie wiem. Jesteś jakiś zagubiony. Powiedziałabym nawet... zdesperowany.

Poznałeś kogoś wyjątkowego?

- Nie! - Zaprotestował chyba zbyt szybko, bo na ustach Margot pojawił się przelotny uśmiezek. Domyśliła się? Przeraził się, że tak łatwo jej to przyszło.

- Ktoś cię wystawił do wiatru - powiedziała, nie kryjąc satysfakcji, gdy po raz trzeci piłka minęła kosz.

- Wcale nie!

- Chciałabym zobaczyć tę dziewczynę, która postawiła cię pod ścianą.

- Nie jestem pod żadną ścianą! - Każde słowo wypowiedział dobitnie.

Gdyby Margot zobaczyła, jak ta dziewczyna była dzisiaj ubrana, pewnie umarłaby ze śmiechu. Katie miała na sobie okropną pogniecioną sukienkę, w której wyglądała, jakby była w ciąży. Taka dziewczyna powinna skakać ze szczęścia pod sufit, gdy Dylan McKinnon zaprosił ją na rolki do parku. A ona co? Opuściła okulary na nos i spojrzała na niego z królewską wyniosłością.

- Nie jestem odpowiednio ubrana - odparła, jakby zniszczenie tej sukienki nie było błogosławieństwem.

- Nie musi być dzisiaj - podchwycił zadowolony, że nie odmówiła mu kategorycznie.

- Do jazdy na rolkach - dokończyła takim tonem, jakby poważnie rozważała propozycję, co sprawiło, że wstrzymał oddech. Ale po chwili dodała: - Nie, przykro mi, ale nie ma tego na mojej liście marzeń.

- Masz taką listę?

Zamilkła.

- Daj spokój, Katie, odpuść sobie. Podaj chociaż jedną pozycję.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo stanie się to częścią tej śmiesznej kampanii, którą prowadzisz, i zanim się zorientuję, będę jechać na słoniu w Afryce.

- Czy to właśnie jest na twojej liście? - Nie mógł być bardziej zaskoczony.

Tutaj, w Ameryce Północnej, nie chciała nawet przejechać się motocyklem!

- To tylko przykład.

- Jesteś bardzo skryta. Widzę, że trzymasz karty przy piersi. - Mimochodem rzucił okiem na jej biust, na te cudowne krągłości ukryte pod paskudnym workiem.

Podniósł wzrok, a ona się zaczerwieniła. Z innymi dziewczynami robiłby postępy, ale z nią nic nie wiadomo. Niewykluczone, że ukradkowe spojrzenie cofnęło go o kilka kroków. Przygnębiające!

- Wymień chociaż jedno marzenie - dodał świadom, że mówi błagalnym tonem. - Obiecuję, że tego nie wykorzystam. - Obdarzył ją spojrzeniem harcerza, które zawsze gwarantowało sukces.

Utkwiła w nim ogromne orzechowe oczy - które teraz przybrały odcień złota - i patrzyła surowo sponad oprawek okularów. Nikt nigdy tak badawczo mu się nie przyglądał. A jeśli nawet, to dostrzegał tylko jego zewnętrzny wizerunek: człowieka sukcesu pełnego determinacji w dążeniu do celu, miłośnika uciech i nieustraszonego śmiałka. Ale gdy ona na niego patrzyła, czuł się nagi i bezbronny. Ona jedna nie dawała się na nic nabrać.

Wzruszyła ramionami.

- Chciałabym popływać z delfinami - przyznała się niechętnie.

Żałował danej przed chwilą obietnicy, ponieważ nagle rozpaczliwie zapragnął zobaczyć ją w wodzie. Przy odrobinie szczęścia - w kostiumie bikini. Do licha, przecież nie o to chodzi. Po prostu chciał zobaczyć, jak śmieje się do tych cudow-

nych zwierząt, jak głaszcze je po nosach, naśladuje ich głosy. Chciał zobaczyć ją szczęśliwą, swobodną, skapaną w promieniach słońca. Wolną.

Czy kiedyś, przed ślubem, taka właśnie była?

Bikini stanowiłoby dodatkową premię, rzecz jasna. Chociaż, sądząc po jej dotychczasowych kreacjach, nie mógł sobie wiele obiecywać po jej kostiumie kąpielowym.

- Zamierzam dołączyć ten punkt do mojej listy - oznajmił zdziwiony, że naprawdę miał na to ochotę.

- Obiecałeś, że tego nie zrobisz!

- Nie z tobą - wyjaśnił. - Umieszczę pływanie z delfinami na mojej liście rzeczy do zrealizowania.

- Nie masz żadnej listy - parsknęła.

- Być może, ale zamierzam ją stworzyć.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz pływał z delfinami, założę się, że zrobisz to w towarzystwie jakiejś olśniewającej dziewczyny w za małym o trzy numery bikini.

- Masz na myśli Heather? To koniec. Powinnaś wiedzieć. To ty wysłałaś jej kwiaty.

- Dylanie - rzekła spokojnie - zmieniasz kobiety jak rękawiczki, dlatego zrobię wszystko, żeby nie stać się jedną z nich.

- Planeta Ziemia wzywa Dylana! - Margot patrzyła na niego w osłupieniu.

- Przepraszam, zamyśliłem się... Ale to nie oznacza, że ktoś trzyma mnie pod ścianą!

- Oczywiście, że nie - odparła uspokajającym tonem Margot. - Potrzebujesz jakiejś rady?

- Nie.

- Mimo wszystko ci jej udzielenie. Bądź sobą.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Jak to niezbyt uprzejmie podkreśliła jego siostra, w zeszłym roku zmienił się nie do poznania. Próbował odnaleźć drogę do sa-

mego siebie i w jakiś sposób - czego właściwie nie rozumiał - Katie mu w tym pomogła. W rewanżu on mógłby pomóc jej, aby znów stała się kobietą, jaką zapewne kiedyś była. Ale próba dotarcia do kobiety, która usilnie broni do siebie przystępu, okazała się dla niego całkowicie nowym i bardzo frustrującym doświadczeniem.

Począł, aż Margot wyjdzie, i sięgnął po następną kartkę. A to ciekawe...

Celeste marzy o wycieczce do miasta, kolacji we dwoje, eksperymentalnym spektaklu teatralnym, a potem o przejażdżce karocą zaprzęzoną w konie.

Wykonał kilka telefonów. W Toronto, do którego było niedaleko, wiele się działo, ale jeśli chodzi o przedstawienia eksperymentalne, wybór był mało zachęcający.

Zawahał się. Po prostu bądź sobą, przeleciały mu przez głowę słowa Margot. Już próbował być sobą, proponując Katie przejażdżkę motocyklem lub jazdę na rolkach.

Nie, tak będzie lepiej. Wkroczy do jej świata, ale nie dziś. Nie chciał być zbyt natrętny. Jeszcze uzna go za jakiegoś prześladowcę.

Jednak nazajutrz po południu, gdy szedł do jej kwiaciarni, czuł się jak wyruszający na wojnę rycerz.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chyba bogowie się na niej mszczą! Przez ostatnie dziesięć dni, gdy Dylan robił wszystko, by osiągnąć cel, ona cierpiała nieziemskie katusze. Odmowa przychodziła jej coraz trudniej. Dylan nie zważał nawet na jej okropny strój. Wydawało jej się, że przeszywa ją wzrokiem i widzi ją taką, jaka jest naprawdę.

Mimo to była przeświadczona, że Dylan prowadzi jakąś grę. Jest przecież zawodnikiem, i to jakim! Nie zwykł przegrywać, nie zrażał się, więc i nie przyjmował odmowy.

Nie miał też skrupułów. Po roku wysyłania w jego imieniu kwiatów doskonale o tym wiedziała. Czwarty pożegnalny bukiet był równie nieuchronny jak nastanie nocy po słonecznym dniu. Jej wysiłki, by chronić przed nim serce, tylko pobudzały w nim ducha rywalizacji.

Zaproponował już co najmniej sześć różnych atrakcji, na które miała ogromną ochotę. Wśród nęcących propozycji była piesza wycieczka, wypad na ryby i na rolki, kolacje w restauracjach, imprezy sportowe i spotkania z celebrytami. No i przejażdżka motocyklem, o której nie mogła zapomnieć, ponieważ nadal ścisnął ją żal na myśl o tym, co straciła.

Żyła w ustawicznym napięciu. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, podskakiwała nerwowo, a po jej ciele przebiegały ciarki. Już od dawna nie czuła się tak podekscytowana. Dylan, drażniąc ją i prowokując, wytrącił ją ze stanu odrętwienia.

Zerknęła na zegar. Dochodzi pierwsza.

Podeszła do okna. Dylan jest na miejscu, zgodnie z planem. I wygląda bosko.

Dzisiaj miał na sobie krótkie spodenki do biegania, starą koszulkę bez rękawów drużyny Blue Jays i czapkę z daszkiem nasuniętą głęboko na czoło, aby uchronić się przed wiosennym słońcem. Choć wiosna dopiero zakwitała, skóra Dylana pokryła się już złotawą opalenizną. Czy to możliwe? Nie darzyła szacunkiem

mężczyzn korzystających z łóżka opalającego.

Ale mimo to zdradzieckie serce waliło jak szalone. Zatrzyma się czy nie?

Zwalniał.

Jednym susem wskoczyła za kontuar - jeśli to dłużej potrwa, nabierze niezłej kondycji - i na pokaz zajęła się układaniem bukietu. Begonie - miej się na baczności - i zmysłowe tuberozy. Niepewnymi palcami wyciągnęła z wazonu różową kamelkę, symbol tęsknoty. I jeszcze kilka gloksynii oznaczających miłość od pierwszego wejrzenia.

Zostawiła drzwi otwarte, dzwonek więc nie ostrzegł jej w porę. Dylan stał i patrzył na nią w skupieniu.

Wyczuła jego obecność. Jego cierpki zapach, świeży jak górskie powietrze i wspanialszy niż aromat wiosny wdzierający się od drzwi, otulił ją od stóp do głów.

- Lubię patrzeć, jak pracujesz - odezwał się.

Jak to możliwe, że nie zauważył jej stroju? Każdego rozsądnego mężczyznę odstraszyłyby ogrodniczki w ogromne różowe peonie przeplatane jaskrawozielonymi liśćmi winorośli.

Peonie symbolizowały wstyd, który odczuwała, nie mogąc opanować dzikiego walenia serca, gdy Dylan pojawiał się w pobliżu. Ale miały też drugie znaczenie. Szczęśliwe życie. Szczęśliwe małżeństwo. Kiedyś ośmielała się o tym marzyć.

- A więc jak wyglądam, gdy pracuję?

- Jesteś bardzo skupiona. Jakby kwiaty przemawiały do ciebie językiem, który tylko ty rozumiesz.

- Aha. - Zerknęła na bukiet, który mówił jej, że jest kobietą niebezpiecznie rozdartą.

- A poza tym wysuwasz język.

- Nieprawda.

- Przygryzasz go przednimi zębami, o tak.

Spojrzała na jego język. To był błąd.

- Widzę, że udało ci się zgubić rękawy od koszulki - zmieniła temat, speszo-
na, że zerknąwszy na jego język, pomyślała o różowych kameliach.

- Odprułem je. A tak przy okazji, ugrzeźliśmy z projektem nowej bluzy. Bie-
gacze nie lubią rękawów.

Lubią pokazywać opalone ramiona, czyż nie?

- Opalasz się? - spytała wprost.

- Opalam? Nie byłem jeszcze na plaży.

- Pytam, czy chodzisz do solarium?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Katie, źle mnie oceniasz. Nie jestem takim bubkiem, jak myślisz!

Tego się obawiała. Chciała, a raczej rozpaczliwie tego potrzebowała, żeby był
próżny i skoncentrowany na sobie. A on tymczasem wcale taki nie był. W głębi du-
szy zawsze to wiedziała.

- Powiedz, że nie możesz sobie mnie wyobrazić na łóżku opalającym - popro-
sił.

Czy leży się tam nago? Czują, że na szyję wpełza jej rumieniec, którego nie
powstydziliby się różowa kamelia.

- Co mogę dziś dla ciebie zrobić? - spytała z zawodowym uśmiechem.

- Powiedz tak. - Utkwił w niej wzrok, opierając się łokciami o kontuar.

- Jeszcze o nic mnie nie poprosiłeś.

- Wiem, ale po prostu zrób mi niespodziankę i powiedz tak.

- Czy masz dziś urodziny?

- Nie.

- Nie ma więc powodu robić ci niespodzianki.

- A gdyby to były moje urodziny?

Zaczynała lubić te przekomarzania, te drobne słowne potyczki. Tylko udawa-
ła, że ich nie cierpi. Gdyby Dylan przestał wpadać do kwiaciarni, byłaby zdruzgo-
tana.

Dylan McKinnon był urodzonym uwodzicielem. Miał ogromne poczucie humoru i niezwykle zamiłowanie do psot. I te szelmowskie spojrzenia! Dostarczał rozrywki i emocji, których bardzo potrzebowała, nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać. Robiąc niespodzianki, czynił zamęt w jej uporządkowanej codzienności. A przede wszystkim obudził w niej pragnienia.

- Nie zrobiłabym ci niespodzianki. Nie umiem robić niespodzianek.

Ale już sprawiła mu najprawdziwszą niespodziankę. Odmówiła mu. Ta myśl dodawała jej siły. Wiedziała, że jeśli się ugnie i zgodzi na randkę, będzie to początek końca. Nie zdąży się obejrzeć, jak otrzyma odpowiednik czwartego bukietu: „Miło było cię poznać”.

- Przeciwnie, moja droga Katie, Uważam, że jesteś zdolna do najbardziej zdumiewających niespodzianek.

Jego głos stał się teraz miękki, a spojrzenie bardziej dociekliwe. Spoważniał. To wytrąciło ją z równowagi.

- Zapewniam cię, że nie kryję żadnych niespodzianek - oświadczyła.

Ale czy przed chwilą, gdy przyznała w duchu, że niecierpliwie wyczekuje jego wizyt, nie zaskoczyła samej siebie? Bez przekonania wzruszył ramionami.

- Chcesz wiedzieć, kiedy są moje urodziny?

Znów przybrał żartobliwy ton i z takim artyzmem uniósł brwi, że musiała ugryźć się w język, aby się nie roześmiać.

- Gdybym chciała poznać twoją datę urodzenia - odparła, walcząc o odzyskanie panowania nad sobą - jestem pewna, że znalazłabym ją na twojej karcie zawodnika. Tylko pomyśl, ile tam jest interesujących informacji: waga, wzrost, statystyki bejsbolowe. Mogłabym zachować się tak samo jak inne dziewczyny.

- Nie mogłabyś - rzekł poważnie. - Nigdy nie będziesz taka jak inne dziewczyny, Katie.

Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ale ponieważ nie chciała się zdradzić, że ją to w ogóle obchodzi, nie dopytywała.

Dylan westchnął, popatrzył na nią z roztargnieniem, a potem uśmiechnął się, jakby zaliczył wszystkie bramki i zdobył punkt.

- Co myślisz o tym, żeby na otwarcie sezonu ligowego pojechać do lodowego hotelu w Quebecu? Przypadkowo mam wtedy urodziny. No, prawie.

Popatrzyła na niego ze złością, a potem zerknęła ponad nim w przestrzeń. Był pierwszy ciepły dzień, pozostawiła więc otwarte drzwi i do środka wkładało się wiosenne powietrze, niosące nadzieję. W takim dniu normalny człowiek nie myśli o hotelach z lodu.

Widziała zdjęcia tego hotelu. Był cudowny; wszystko, począwszy od ścian, podłóg i łóżek aż po kieliszki do wódki wyrzeźbiono w lodzie. Wizyta w tym hotelu znajdowała się na liście rzeczy, które planowała, tak samo jak pływanie z delfinami. Jak udało mu się na to wpaść?

Popatrzyła na niego podejrzliwie i westchnęła. Ten facet niezmordowanie dąży do celu. I nie poddaje się. O ile wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby potrafiła uwierzyć w swoje najgorsze przypuszczenia. Gdyby naprawdę korzystał z solarium, naprawdę był jakimś zwariowanym prześladowcą... Ale cóż, darzyła go dziwnym rodzajem zaufania, nawet jeśli zniszczył jej marzenia o lodowym hotelu, ponieważ nigdy już nie będzie w stanie spokojnie patrzeć na lodowe łoża przykryte skórą karibu i nie zastanawiać się...

- Nie! - odparła nazbyt piskliwym głosem.

- Hej, to dopiero w przyszłym roku.

- Nie wyglądasz na człowieka, który planuje coś na rok z góry.

- A tu się mylisz. To znaczy, owszem, może trochę naciągnąłem datę urodzin, ale poza tym jestem świetny w planowaniu. Wszystkie kolekcje w Daredevils przygotowujemy z rocznym wyprzedzeniem.

- Zgoda, ale moja odpowiedź nadal brzmi nie.

- A więc znów spudłowałem. - Westchnął z fałszywym smutkiem i pokręcił głową.

- Dylanie, naprawdę chcę, abyś z tym skończył.

- Szczerze wątpię - odrzekł znów poważnym tonem.

Stanowczym gestem skrzyżowała ręce na różowych peoniach na swojej piersi, jakby sama przed sobą ukrywała swój wstyd. Bo on ma rację. Wcale nie chciała, by z tym skończył, i była ogromnie zażenowana, że czytał w niej jak w otwartej księdze.

W przeciwnym razie po prostu zgodziłaby się na jedną z propozycji. Na cokolwiek. Na jazdę motocyklem, rolki, kolację lub tańce. Wtedy wszystko potoczyłoby się według utartego schematu. Miałoby swój początek, środek i koniec.

Przeminęłoby jak sen. Potem więcej by tu nie wstąpił.

- Nie umówię się z tobą - powtórzyła. - Nigdy. Chyba masz coś lepszego do roboty, niż mnie dręczyć.

- Katie, kochanie, to dziwne, ale uwielbiam cię dręczyć.

- Tego się właśnie obawiam - odpowiedziała.

Gdy roześmiał się gromkim szczerym śmiechem, ukazując białe zęby, zobaczyła w jego oczach iskry prawdziwej radości. Wiedziała, jak wiele traci, odmawiając.

Dylan siedział za biurkiem i celował piłką do kosza. Kolejny raz nie trafił. Do diabła!

Nagle zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Poprosił Margot, aby dowiedziała się, co dziewczyny lubią robić na randkach, i efekt tej akcji przeszedł wszelkie oczekiwania. Ale przecież od początku wiedział, że Katie jest inna. Nie działały na nią wypróbowane sposoby.

Pora zabrać się do rzeczy z innej strony.

Co on właściwie wie o Katie? Przede wszystkim, że ma złamane serce. A prócz tego, że lubi książki i koty. I odwiedza bibliotekę.

Chciała popływać z delfinami... Zauważył w jej oczach również cień zainteresowania, gdy wspomniał o hotelu z lodu. Nie zastanawiając się dłużej, wrzucił w

wyszukiwarce internetowej hasło: koty+książki+biblioteka.

Ku swemu zaskoczeniu dostał prezent na tacy. Bogowie się nad nim zlitowali. Jakież to jest proste! No, temu Katie na pewno się nie oprze.

W Bibliotece Publicznej w Toronto miało się odbyć spotkanie ze sławnym rysownikiem kreskówek o kotach Tacem Revolem, połączone ze zbiórką pieniędzy na cele charytatywne. Oczywiście bilety były wyprzedane. Ale to żadna przeszkoda dla Dylana McKinnona. Po kilku dniach już je miał.

Pod koniec tygodnia z taką samą jak zwykle pewnością siebie wkroczył do kwaciarni. Zatrzymał się i bacznie przyglądał Katie. Udawała, że go nie zauważa. Czyżby była urażona, że nie zagląda tu codziennie?

Wszystko na to wskazuje, pomyślał uszczęśliwiony.

Wyglądała dziś jeszcze gorzej niż tydzień temu. Miała rozpuszczone włosy, co było niezwykle, ale uczesane bez polotu; gładko przylizane kosmyki zwisały do ramion przykrytych falbaniastym wykończeniem bluzki. Wielowarstwowa spódnica w ponurych i przygnębiających odcieniach fioletu prezentowała się równie tragicznie.

Patrzyła wszędzie, byle nie na niego. Wreszcie spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się ze sztucznym ożywieniem.

- A więc poznałeś kogoś nowego? Czas wysłać sławny bukiet „Poznajmy się bliżej”?

Aha, sądzi, że dlatego nie wpadał.

- Nie, nie poznałem nikogo.

- Co za strata czasu - zauważyła z fałszywą radością. - Jeśli nie chcesz zaniżyć statystyk, musisz zabrać się do roboty.

Jego siostra rzeczywiście miała rację. Żadna przyzwoita dziewczyna nie umówi się z takim facetem jak on.

- Jedna z moich klientek podała mi telefon swojej wnuczki, chociaż jej odradzałam... - Och, papple bez sensu. Czyżby naprawdę dotknęło ją, że nie przychodził?

Dylan nie miał zamiaru rozprawiać o czyjejs wnuczce. Jakby kiedykolwiek dzwonił do nieznajomej dziewczyny! Ale tłumaczenie się przed Katie nie ma sensu. Jego siostra też pewnie by mu nie uwierzyła. Mężczyzna, który rozpoczyna nowy rozdział w życiu, powinien to udowodnić. Nikt nie uwierzy mu na słowo.

Naprawdę rozpoczął nowy rozdział? Ogarnęło go znów to nieprzyjemne uczucie, że sam siebie nie zna.

Bez słowa położył bilety na kontuarze.

W pierwszej chwili chciała je zignorować, ale potem zerknęła na nie, a wtedy jej oczy zrobiły się okrągłe.

Poczuł radość w sercu. Było jasne, że Katie pragnie tych biletów.

- Tac Revol! - wyjąkała. - O rety, jak je zdobyłeś? To jak gwiazdka z nieba!

- Pomyślałem, że może zechcesz pójść - rzekł uroczystym tonem.

Wyraz zachwyty na jej twarzy wart był wysiłku.

- To dla mnie? - spytała z niedowierzaniem.

Wzięła bilety do ręki, a potem nastąpiło coś nieoczekiwanego. Wyskoczyła zza kontuaru i, przyciskając bilety do piersi, zaczęła tańczyć.

Z rozpuszczonymi włosami wyglądała jak cygańska tancerka. Szeroka spódnica wirowała wokół jej zgrabnych smukłych nóg, a dekolt bluzki przekrzywił się, odsłaniając kremową skórę jej ramienia.

Dylan patrzył jak urzeczony. Z wrażenia zaschło mu w ustach. Odkąd upuściła przy nim wazon z różami i potknęła się o dywan, uważał ją za niezdare. Jakże się pomylił! Była pełna wdzięku, zmysłowa i gibka.

Nareszcie objawiła mu się prawda, i to z niezwykłą wyrazistością. Naturalne piękno promieniejące blaskiem. Jest to blask, którego nic nie zaćmi i którego nie da się sztucznie stworzyć.

Katie Pritchard jest piękna.

Oszołomiony przyzwyczaiał się do swego odkrycia. Warto było stać się lepszym człowiekiem, chociażby po to, aby poznać się na Katie.

Nadeszła pora poinformować ją, że tylko jeden bilet przeznaczony jest dla niej. Drugi należał do jej towarzysza. Do niego. Nie chciał jednak, by przestała tańczyć. Nie chciał, by jej uśmiech zgasł. Sam również potrzebował czasu, by oswoić się z tą rewelacją.

Katie jest piękna, a to wszystko zmienia.

Przypomnił sobie, czego dowiedział się o niej podczas minionego roku, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Była zabawna, nieśmiała, inteligentna i dumna. I nadzwyczaj przyzwoita. Dobrze wiedział, dlaczego unikał takich dziewczyn.

- Moja mama będzie w szoku - powiedziała w końcu, zatrzymując się. Była zdyszana, czoło miała lekko wilgotne. - Próbowała wszystkiego, żeby zdobyć bilety na to spotkanie - wyjaśniała pospiesznie Katie. - Oddałaby za nie wszystko... Och, mogłabym cię ucałować!

Zamknął oczy i wydał usta, ale nic się nie wydarzyło. Gdy znów je otworzył, okazało się, że Katie jest na zapleczu i rozmawia przez telefon. Ogarnęło go zadziwiające pragnienie poznania smaku jej ust, choć przecież wiedział, jak bardzo to niebezpieczne.

Cóż, nigdy nie odznaczał się nadmierną ostrożnością i nieraz musiał za to płacić.

- Mamo, nie zgadniesz, co się wydarzyło - mówiła Katie bez tchu. - Mam bilety na Taca Revola!

Stał przez chwilę w zadumie, słuchając jej przejętego głosu. Raptem prawie ze smutkiem zdał sobie sprawę, że osiągnął swój cel. Zmienił ją. Długo nad tym pracował, ale się doczekał. Jego misja dobiegła końca, choć nie zdołał umówić się na randkę.

Zobaczył, jaka Katie jest naprawdę. Namiętna. Skora do śmiechu. Pełna wewroty. Ta chwila nadeszła niespodziewanie i była to wspaniała chwila. Nie mógł liczyć na więcej, nawet gdyby ją widział pływającą z delfinami.

To dziewczyna, w której mężczyzna może się zakochać, zanim zdąży się obejrzeć.

Kochała swoją matkę. Żadna z jego poprzednich dziewczyn nigdy nie wspomniała o matce!

Miłość. Nie spodobało mu się, że to słowo skojarzył z Katie. Całe szczęście, że jest dziewczyną, na którą mężczyzna taki jak on nie zasługuje. Nie wiedział nawet, jak długo potrafi wytrwać w swym nowym szlachetnym wcieleniu. Kto wie, może odziedziczył złe geny?

Jego ojciec przez trzydzieści pięć lat kierował się w życiu honorem. Przysiągł miłość i wierność na dobre i na złe, a jednak złamał przysięgę. Umieścił swoją ukochaną żonę w domu opieki. Mało tego, rzadko i niechętnie ją odwiedzał. Dylan policzył, że minęły ponad dwa miesiące od ostatniej jego wizyty. Podejrzewał, że ojciec ma przyjaciółkę. A Tara dziwi się, dlaczego do niego nie oddzwaniał! Choroba matki i wydarzenia, które potem nastąpiły, wprawiły Dylana w szok. Nie mógł uwierzyć, że zasady, które wydawały się mocne i niezłomne, tak łatwo można złamać. Stał się człowiekiem, który już w nic nie wierzył.

Przysłuchując się Katie rozmawiającej z matką, zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Wmawiał sobie, że próbuje dać jej to, co straciła. A tymczasem pojął, że usiłował dać jej to, czego jemu zabrakło.

Nadzieję. Wiarę. Zaufanie.

Nie nadaje się do tej roli. To zadanie go przerasta.

Katie zerknęła na niego i raptem spoważniała.

- Mamo, zaraz oddzwonię. Dylanie...?

- Tak?

- Dobrze się czujesz? - Wynurzyła się z zaplecza i patrzyła na niego z niepokojem.

Zdobył się na beztroski uśmiech, próbując patrzeć na nią jak na zwyczajną dziewczynę. Ale się nie udało. Widział kobietę, która potrzebuje wiarygodnego

mężczyzny, kogoś na tyle odważnego, by mogła mu zawierzyć siebie, kogoś takiego, jakim on sam był, zanim legł na tarczy.

Skrzyżował ramiona na piersiach. Nic go z nią nie łączy. Zrobił przyzwoitą rzecz. Przywrócił jej, jakkolwiek na krótko, radość życia. Obydwoje wiedzieli, że nie straciła jej całkiem, tylko skrywała głęboko w duszy.

A co z jego duszą?

Zdawał sobie sprawę ze swoich braków, z tego, że nadmiernie rozwinął wiele cech swojej osobowości - siłę, odwagę, wytrwałość, inne zaś cechy, takie jak uczuciowość, czułość czy wrażliwość, zdołał całkowicie stłumić. Jeśli znajomość z Katie zabrnęła zbyt daleko, będzie musiał otworzyć duszę, a wtedy może zostać zraniony. Do diabła, wcale tego nie chciał. Nie zamierzał odsłaniać słabości, które chował pod fasadą bohatera.

Lubił zabawę i niebezpieczeństwo, najlepiej w podniecającej kombinacji. Nie lubił grzebania się we własnej duszy. Prawdę mówiąc, nienawidził tego. Dziewczynie, która chciałaby prowadzić z nim głębokie intymne rozmowy, szybciej niż zwykle wysłałby pożegnalny bukiet.

- Dylanie, co się stało?

- Nic - burknął.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- A może chciałeś zobaczyć Taca Revola?

- Słucham? - Uniósł brwi. - Chyba upadłbym na głowę.

Przez moment wyglądała na nieprzekonaną, ale potem jej twarz się wypogodziła.

- Och, oczywiście, że nie! Pewnie nawet nie wiesz, że Tac Revol to Cat Lover pisany odwrotnie. Po prostu myślałam, och, nieważne... - Znów się uśmiechnęła. - A więc nie masz nic przeciwko temu, że zabiorę mamę?

- Cieszę się, że zabierasz mamę. - Ani słowa więcej, nakazał sobie w duchu.

McKinnon, wycofaj się! Odwrót na całej linii. - Chciałbym móc uczynić moją ma-

mę tak szczęśliwą choćby jeszcze jeden raz...

- Czy ona odeszła, Dylanie? - zapytała cicho.

- Tak - odparł szorstko. Odeszła.

Jego wspaniała, inteligentna, ciepła, kochająca i wrażliwa matka już nie wróci.

- Tak mi przykro.

Cała jego odwaga załamywała się w obliczu światła w jej oczach, z których znikła nieufność, a pojawił się wyraz takiej czułości, że mężczyzna mógł odłożyć tarczę i spokojnie odpocząć.

Katie Pritchard była piękna w inny sposób niż kobiety, które znał. Jej piękno płynęło z duszy i potrafiło zmieniać ludzi na lepsze. Wyzwalało w nich dobre cechy. Była poważna, autentyczna i prawdziwa. I doznała już w życiu zawodu. Związała się z mężczyzną, który nie był jej wart, nie dorastał do jej standardów.

Gdy Dylan uświadomił sobie, jak wysokie to były standardy, poczuł się jak grzesznik, który chce dosięgnąć bóstwa.

Zdał sobie sprawę, że droga, którą obrał, skreśliła niebezpiecznie i budzi strach. Strach? Czy to możliwe? Nieustraszony Dylan McKinnon nie znał tego uczucia. Taka zwyczajna dziewczyna nie powali go przecież na kolana.

Nagle Katie wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku tak czule, jakby poznała wszystkie jego sekrety.

A potem go pocałowała.

Jej niewypowiedziane miękkie usta zapraszały do zwierzeń. Dotykały tej części jego serca, którą usilnie chował przed światem. Tam skrywał swe brzemiona i samotność. I nagle brzemiona stały się lżejsze, a przez mgłę samotności zaczęło przeziierać słońce.

- Jeśli miałbyś ochotę pójść kiedyś na kawę... - zaczęła z wahaniem.

Odsunął się.

- Muszę na jakiś czas wyjechać z miasta.

Zauważył, że wzdrygnęła się na to jawne kłamstwo. Ale czuł, że będzie lepiej zranić ją teraz niż później. Życie, a szczególnie miłość, są utkane z bardzo kruchej materii. Obawiał się, że zniszczy uczucie, które zakwitło w jej oczach. Miłość.

Nie ufał sobie, jeśli chodzi o miłość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zerkając na zegar, Katie zajęła stanowisko przy oknie. Prawie pierwsza i ani śladu Dylana. Już trzeci dzień do niej nie zagląda, nie droczy się z nią, nigdzie jej nie zaprasza. Od chwili, gdy dostała od niego bilety - i popełniła błąd, wspominając o kawie - zapadł się jak pod ziemię.

Pogoń za nią się skończyła. Facetowi takiemu jak on chodzi wyłącznie o ło-
wy. Wiedziała o tym, przecież nieraz wysyłała w jego imieniu kwiaty.

Powiedział jej, że wyjeżdża, ale widziała jego czerwony samochód na ulicy. Oczywiście nie musiał wtajemniczać jej w swoje plany!

Zdradzieckie uczucie, które przepełniało ją, ledwie o nim pomyślała, powinna potraktować jako ostrzeżenie. Tęskni za nim. Ale każdego dnia, czekając na jego wizytę, wybierała coraz brzydszy strój. Dziś miała na sobie spódnico-spodnie w stokrotki, a włosy związane identyczną bandaną. Próżny będzie jej wysiłek, jeśli Dylan nie wpadnie, aby podziwiać tę kompozycję.

Z początku myślała, że zwycięża w tej grze w kotka i myszkę, ale dziś w to zważyła.

Coraz bardziej się w nim zakochiwała. Biletami na występ Taca Revola naprawdę ją wzruszył. A kiedy głos uwiązł mu w gardle na wspomnienie matki, w murze, którym otoczyła swoje serce, powstał wyłom nie do naprawienia.

A potem przestał przychodzić. Czowała instynktownie, że popełniła jakiś błąd. Przyjęcie biletów i zaproszenie go na kawę było początkiem końca. Tylko że w jej przypadku zabrakło tego wszystkiego, co powinno być w środku. Och, to śmieszne,

ale czuła żal.

Prawdopodobnie tego dnia, gdy dał jej bilety, zobaczył w niej dziewczynę, która zbyt mocno się angażuje i z drobnych gestów wyciąga pochopne wnioski. Po prostu się wystraszył. To dobrze, że stracił zainteresowanie tą grą, przekonywała się. Przecież i tak ona nie ma szans wygrać z takim jak on zawodnikiem.

Minęło pięć minut. Nie pojawił się. Albo dziś nie biega, albo celowo omija kwiaciarnię.

Serce jej zamierało, a oczy paliły, jakby miała się rozpląkać. Nie będzie ronić łez. Klienci stale wchodzili. I pracowała z nią dziś asystentka, pani Abercrombie.

Przez cały czas zdawała sobie sprawę, że flirtowanie z Dylanem to groźna zabawa. Łatwo przyzwyczać się do widoku jego pełnej uroku przystojnej twarzy, do jego zabawnych żarcików, ale także do subtelnej strony jego natury, którą usiłował ukryć pod maską beztroskiego playboya - do jego delikatności, wrażliwości i inteligencji.

Poruszył ją wyraz jego twarzy, ten cień w oczach, gdy wyznał, że jego matka odeszła. Dostrzegła w nim wojownika świadomego klęski, który bezradnie patrzy na swoją broń, nie rozumiejąc, dlaczego z jej pomocą nie udało mu się zawrócić biegu życia i uchronić przed bólem tych, których kochał. W chwili, gdy wspomniał matkę, zrozumiała, że kochał dziko i gwałtownie oraz dlaczego gonił za powierzchownymi przyjemnościami.

Wiedziała również, dlaczego chciałaby być tą wybranką, przy której Dylan odłoży broń i się ustakuje. Pragnęła tego całym sercem, ale rozsądek szeptał, że to się nigdy nie stanie.

Wyprostowała ramiona, uniosła podbródek i założyła luźne kosmyki włosów za uszy.

Jest rozwiedziona kobietą. Wie, że miłość potrafi zadawać bolesne rany. Od początku uważała, że nie powinna opuszczać gardy i przez pewien czas miała wrażenie, że jej się to udaje. Teraz doszła do wniosku, że od pierwszego dnia, gdy ule-

gła impulsowi i zaczęła obserwować biegnącego Dylana, jej mechanizm obronny zaczął szwankować.

Wiedziała, że nie jest to mężczyzna, z którym rozsądna kobieta mogłaby wiązać nadzieje. W najlepszym razie mogłaby dostarczyć mu chwilowej rozrywki - do czasu, gdy pojawi się odpowiednia dziewczyna, piękna i głupia, przy której będzie mógł bez przeszkód odgrywać playboya.

Dzień był piękny, śpiewały ptaki. Powinna z tego czerpać radość. Pomyślała, że wystawi na dwór kilka wazonów z kwiatami. Wybrała ostróżki, pierwiosniki i żółte lilie, a zewnętrzny parapet udekorowała sadzonkami nagietek.

Zapewne nikt się nie domyśli, że wystawiła na pokaz najgorsze cechy charakteru Dylana: niestałość, niekonsekwencję, fałszywe oczekiwania. Może nagietki nie były tu całkiem na miejscu... Ostatecznie dał jej bilety na Revola. Ale fakt, że stracił nią zainteresowanie natychmiast po tym, gdy okazała wzajemność, można nazwać okrucieństwem. Tęskniła za jego wizytami, oczekiwała ich, żyła dla nich, a on przestał wpadać.

Na koniec wyniosła wazon z gladiolami, które uchodziły za kwiaty gladiatorów - wojowników demonstrujących siłę, również siłę ducha. Przyglądała im się chwilę w zadumie, rozważając, czy bardziej pasują do niej, czy do Dylana.

Raptem drzwi jego biura gwałtownie się otworzyły i w pełnym słońcu ukazał się Dylan.

W Katie zabłysła nadzieja, że do niej zajrzy i wytłumaczy kilkudniową nieobecność. Ale on jej nie zauważał. Urażona chciała wycofać się do środka, gdy nagle coś ją zaintrygowało. Dylan wyglądał na rozkojarzonego; przesuwiał wzrokiem po samochodach, jakby zapomniał, gdzie zaparkował.

Dylan rozkojarzony? Zmarszczyła brwi. Niewiarygodne. Zawsze wyglądał znakomicie, niemal wytwornie, nawet w stroju do biegania. A teraz miał podwinęte rękawy koszuli i rozwiązany krawat. Widocznie musiał w pośpiechu opuścić biuro.

Powinna wycofać się do sklepu, ale wiedziona jakimś niezrozumiałym impulsem nieoczekiwanie podeszła do Dylana i dotknęła jego ramienia. Drgnął nerwowo. Zdała sobie sprawę, że w ogóle jej nie zauważył.

- Dylanie, co się stało?

Gdy na nią spojrzął nieobecny wzrokiem, nie poznała jego twarzy. Malował się na niej strach.

- Dzwonili ze szpitala... - Szukał w kieszeniach kluczyków. - Tarę przywiozła karetka.

Tarę, jego rezerwową dziewczynę?

- Nie mogą znaleźć Sama.

- Sama?

- Męża mojej siostry Tary. Powiedzieli, że będzie operowana. Tyle zrozumiałem.

- Tara to twoja siostra? - spytała zdezorientowana, a potem, widząc, że ręce mu się trzęsą, wyjęła mu z dłoni kluczyki. - Zawiozę cię. Tylko uprzedzę panią Abercrombie, że wychodzę.

Spodziewała się oporu, a przynajmniej słowa protestu, ale ono nie padło.

- Dzięki, Katie - powiedział i wtedy dopiero na nią spojrzął. Naprawdę na nią spojrzął, a ona zrozumiała, że mogłaby całą wystawę udekorować ostróżką, a i tak nie zmieniłaby tego, co czuła.

Niech sobie inni wierzą, że Dylan niczego się nie boi. W tej chwili widziała w nim człowieka głęboko kochającego tych nielicznych, którzy byli mu bliscy. Już wcześniej zauważyła, że bardzo kochał matkę. Była pewna, że bez wahania oddałby życie, aby ochronić tych, których kochał.

Zrozumiała również, dlaczego tak szybko zrywał z kobietami. Należał do ludzi, którzy angażują się całym sercem. Miłość go obezwładniała, a wtedy zaczynał się bać. Nikt lepiej nie rozumie strachu przed niszczącym działaniem miłości niż kobieta, która straciła dziecko.

Otworzyła drzwi i wsiedli do samochodu. Nigdy nie prowadziła pojazdu, w którym siedziało się niemal na ziemi. Próbując opanować treść, popatrzyła na dźwignię zmiany biegów. Silnik zaczął się dusić, gdy ruszała. Mocniej nacisnęła pedał gazu; zaskoczyła ją siła, która wgniotła ją w siedzenie. Przyhamowała i spróbowała ponownie. Kierowca jadący za nią zatrąbił.

- Prowadziłaś kiedyś taki samochód? - spytał nerwowo Dylan.

- Samochód jak samochód - odparła, próbując wrzucić dwójkę.

Biegi zazgrzytały.

- Katie, nie dasz rady. Stań, sam poprowadzę.

Jeszcze by tego brakowało! Zapewne pobiłby rekord prędkości na ulicach Hillsboro i został zatrzymany, zanim dotarliby na miejsce.

- To zbyt niebezpieczne - wyjaśniła.

Wjechała na główną ulicę. Kolejny raz ktoś zatrąbił.

- Co ty robisz? Doprowadzasz mnie do szaleństwa, gdy przemawiasz takim mentorskim tonem.

Nieźle, prawda? Niejedna kobieta chciałaby doprowadzić Dylana McKinnona do szaleństwa. Albo chociaż poprowadzić jego samochód.

- Przynajmniej przy takiej prędkości nikogo nie zabiję.

- Znów ten ton! W tym tempie nigdy nie dojedziemy. Postara się oderwać myśli Dylana od zmartwień.

- Opowiedz mi o niej. Nie masz więcej rodzeństwa?

- Niestety. Tara jest siedem lat ode mnie starsza. Gdybym miał rodzeństwo, musiałyby podzielić swoją uwagę, a tak pastwi się tylko nade mną. To prawdziwa wiedźma. Wścibska. Apodyktyczna. Aż trudno uwierzyć, że taki miły facet jak Sam chciał się z nią ożenić.

- Ale ją uwielbiasz - skonstatowała Katie.

Popatrzył na nią ze złością.

- Ona jest jak wrzód na tyłku.

- Kochasz ją do szaleństwa.
- Niech ci będzie.
- Ciągłe wysyłasz jej kwiaty.
- Głównie po to, żeby tobie zawracać głowę.
- Żebyś myślała, że jesteś inny niż naprawdę?
- Jestem taki zły, jak myślisz, Katie. A prawdopodobnie jeszcze gorszy.
- Aha.
- Zachowałeś się bardzo czujnie, że nie chciałaś się ze mną umówić.
- Aha.
- Jeśli nie wierzysz, spytaj moją siostrę.
- W porządku.
- I na litość boską, przestań mi przytakiwać!
- Czyżbyś się czegoś bał, nieustraszony Dylanie? - Ale już wiedziała. Bał się tego samego co ona. Miłości.

Był przerażony, ponieważ wiedział, że tej siły nie kontroluje. Wypadek siostry przypomniał mu o tym. Życie potrafi złamać wojownika, gdy w grę wchodzi miłość.

Zmrużył oczy i popatrzył na nią z ukosa.

- Tak, boję się, gdy prowadzisz.

Rzeczywiście zbyt gwałtownie ruszyła spod świateł i głowa Dylana poleciała do przodu.

- A poza tym, co ty masz na sobie? Wyglądasz, jakbyś wybierała się na casting do „Dźwięków muzyki”. Jak to się nazywa?

- Spódnico-spodnie. - Bardzo się starał, aby nie odkryła tajemnicy jego serca, ale na to było już za późno.

W końcu podjechali pod drzwi szpitalnej izby przyjęć.

- Wejdz do środka - powiedziała - a ja tymczasem gdzie zaparkuję.

Nie był przekonany, ale troska o siostrę przeważała. Wsiadł, trzasnął

drzwiami i popędził do wejścia.

Zaparkowała samochód i spojrzała w lusterko. Skrzywiła się na swój widok. Ubieranie się na złość Dylanowi jest zabawne, ale pokazywanie się w tym stroju w publicznym miejscu znacznie mniej. Zdjęła chustkę, przeczesła palcami włosy i potrząsnęła głową. Trochę lepiej. Ale w sprawie spódnico-spodni w stokrotki nic już nie mogła zrobić. Pozostało wysoko trzymać głowę.

Gdy weszła do izby przyjęć, Dylan stał przy oknie. Trzymał na rękach dziecko. Zaparło jej dech. Wtulony w klatkę piersiową Dylana malec ssał kciuk jednej rączki, drugą zaś przesuwiał po jego ustach. I nie omyliła się. Dylan pocałował małe paluszki, a potem powiedział coś zabawnego, ponieważ dziecko uniosło główkę i się uśmiechnęło.

Domyśliła się, że chłopczyk jest jego siostrzeńcem. Obydwaj mieli włosy w kolorze gorzkiej czekolady, a do tego zadziwiająco niebieskie oczy. W okrągłej jeszcze, pulchnej buzi dziecka wyróżniały się już wysokie kości policzkowe i mocno zarysowany podbródek, które złamią kiedyś niejedno serce.

Katie uderzył osobliwy kontrast. Silny i pewny siebie Dylan umięśnionym ramieniem podtrzymywał bezbronne i ufne dziecko. Był odprężony, a jednak w samej jego postawie wyczuwało się głęboką miłość do dziecka i instynkt opiekuńczy wojownika.

Widziała w nim znów mężczyznę, który kocha. W dodatku Dylan, nie angażujący się przecież w żaden związek, wyglądał, jakby został stworzony do roli ojca.

Nagle do Katie wróciły bolesne wspomnienia.

Kiedyś o tym właśnie marzyła...

Silny mężczyzna. Dziecko. Dom. Huśtawka. Więcej dzieci. Piaskownica. Pieczenie ciasteczek Grządki z kwiatami...

Ale marzenia umarły. Jej synek miałby teraz może rok więcej niż chłopiec w ramionach Dylana. Potem przez wiele miesięcy żyła w szarej mgle. Żadnych łez. Żadnej radości.

I żadnej nadziei. Marcus z każdym dniem stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony, a potem nieobecny duchem.

Pograżona w zadumie Katie zobaczyła, jak do Dylana podchodzi młoda pielęgniarka, cała w uśmiechach i pełna werwy. Podobna do dziewczyn, w jakich Dylan gustował...

Katie chciała wyjść. Nie spodziewała się, że widok Dylana z dzieckiem na rękach tak ją zaboli. Był to ból kobiety, która zdaje sobie sprawę, że jej pragnienia nigdy się nie spełnią, bo są nierealne. Równie dobrze mogła pomarzyć o gwiazdce z nieba.

Gdy pielęgniarka się oddaliła, Katie wzięła głęboki oddech i szybkim krokiem podeszła do Dylana.

- Proszę, twoje kluczyki - rzekła z ożywieniem. - Pójdę już. Mam nadzieję, że z siostrą wszystko w porządku?

- Poślizgnęła się na zabawce i spadła ze schodów - wyjaśnił, uważnie jej się przyglądając. Nie wyciągnął ręki po kluczyki. - Ma otwarte złamanie nogi. Chirurg ortopeda jest już w drodze.

- W drodze, to świetnie... Muszę...

- Co się stało? - spytał czule.

Dziecko wyciągnęło rączkę, chcąc złapać ją za włosy. Pachniało słodko talkiem i dzieciennym mydłem oraz niewinnością, nadzieją i marzeniami.

W pracy nawet nie była w stanie układać bukietów dla młodych mam. Pozostawiała to pani Abercrombie, która wypełniała prezentami niebieskie ceramiczne buciki albo różowe koszycki.

- Co się stało? - powtórzyła, cofając się o krok, ponieważ wiedziała, że jeśli dziecko dotknie ją swymi pulchnymi paluszkami, kompletnie się załamie. - Nic. - Głos jej zadrżał. Wcisnęła Dylanowi w rękę kluczyki. - Muszę iść...

- Katie, porozmawiaj ze mną.

Wtedy zdarzyła się rzecz straszna. Zaczęła płakać. Nic na to nie mogła pora-

dzić, że wszystkie uczucia, które tłumiała w sobie od czasu poronienia, wybrały właśnie ten moment, żeby o sobie przypomnieć.

Takie przedstawienie powinno przerazić Dylana McKinnona, ale tak się nie stało.

Wolną ręką przyciągnął ją do siebie i przytulił jej głowę do swojej piersi.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Poczuła, że dziecko targa ją za włosy i wydaje głośne okrzyki protestu. Czekala, aż jej serce roztrzaska się na milion kawałków. Gdy stała w objęciu Dylana, a słodko pachnący malec ciągnął ją za włosy, szczebiocząc w dzieciennym języku, rzeczywiście coś się w niej roztrzaskało. To był lód skuwający jej serce. Poczuła, jak wezbraną falą przepływa przez nią ciepło.

- Czy mogę go potrzymać? - wyszeptała.

Dziecko chętnie wyciągnęło do niej rączki, gaworząc i puszczać bańki ze śliny. Objęła je mocno ramionami. Czowała jego ciepłe cudowne ciało. Czowała w nim życie. W całej jego tajemniczości i wspaniałości.

W przyływie nieoczekiwanej odwagi, patrząc Dylanowi prosto w oczy, powiedziała:

- Miałam poronienie. Straciłam dziecko. Moje małżeństwo tego nie wytrzymało.

Po prostu na nią patrzył. Nie próbował jej pocieszać, ale też nie odwracał wzroku. Nie wypowiedział zbędnych zdawkowych słów. Po prostu na nią patrzył, a w jego spojrzeniu była jakaś krzepiąca podpora, której chętnie uczepiłaby się pazurami.

- Usiądźmy. - Zaprowadził ją do poczekalni, która na szczęście była pusta.

Usiadła na krześle z dzieckiem w objęciach, a Dylan obok niej. Przykrył dłonią jej rękę.

- Jak mu na imię? - zapytała.

- Jake.

- Chciałam nazwać swego synka Jonathon.

- Ładne imię. Myślę, że byłabyś dobrą matką. Wspaniałą matką.

Nie powiedział, że jest młoda, że ma jeszcze szansę, tak jakby jedno dziecko można było zastąpić innym.

- Było mi bardzo ciężko. Ale Marcus, mój mąż, chyba poczuł ulgę...

Nikomiu na świecie tego nie powiedziała. Może nawet nie przyznała tego przed sobą? Słowa popłynęły teraz wartko jak wezbrany strumień.

- Nie mam pewności, czy jestem gotów na dziecko, powiedział. Nie chciał spróbować jeszcze raz. Chciał, żebym się z tym pogodziła. Nie rozumiał, jak można oplakiwać dziecko, które się nie narodziło. - Urwała, a potem dodała tak cicho, jakby mówiła tylko do siebie: - Ale marzenia nadal we mnie żyły.

Dylan zaklął pod nosem. Nigdy nie poczułby ulgi, gdyby coś takiego mu się przytrafiło. Nigdy.

Ogarnęło ją nieodparte pragnienie, by dać mu szansę. Zaryzykować...

Z nim? To szaleństwo. Zajmowała się tylko wysyłaniem jego kwiatów, ale to w jego oczach dostrzegła latarnię morską, która zagubionym na morzu statkom wskazuje drogę do bezpiecznego portu.

- Jeśli Tara to twoja siostra - powiedziała w zadumie - to kim jest Sarah?

Zerknął na nią i uśmiechnął się półgębkiem.

- Szefową naszego działu reklamy.

- A Margot?

- Moją sekretarką.

- Janet?

- Siostra zakonna Janet - odparł z westchnieniem. - Prowadzi klub dla młodzieży.

- Powinnam uciec gdzieś ze wstydu - oświadczyła.

Ale czy mogłaby uciekać przed nadzieją, która w niej zakiełkowała?

- Katie, kochanie - powiedział. - Och, Katie, kochanie...

Katie, kochanie... Zwyczajne, niewiele znaczące słowa. Ale ponieważ wypowiedział je tak tkliwie, jakby z głębi serca, poczuła jeszcze większą tęsknotę. Na pewno nigdzie nie ucieknie. Przynajmniej nie teraz.

A potem podniósł jej dłoń i z westchnieniem pocałował, jak mężczyzna, który chciałby wymazać jej przeszłość.

Dziecko, które do tej pory z zadowoleniem ssało palec, nagle wyjęło go z buzi i wrzasnęło:

- Jaaake!

Roześmiała się przestraszona i jednocześnie zachwycona.

- Pracujemy nad wysokością dźwięku - wyjaśnił Dylan ciepłym głosem. - Na razie zna tylko jedno ustawienie: głośno. A jeśli postawimy go na ziemi, okazuje się, że zna jedną prędkość.

- Niech zgadnę. Dużą.

- Skąd wiesz?

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Panie McKinnon? - zawołała pielęgniarka. - Czy może pan pójść ze mną?

Dylan spojrzał pytająco na Katie.

- Chcesz, żebym zabrał Jake'a, czy mogę zostawić go z tobą?

Katie walczyła, by nie dać po sobie poznać, jak palące ogarnęło ją pragnienie, by przytulić dziecko i zanurzyć się w jego słodkim zapachu.

- Zostaw go ze mną - powiedziała półgłosem.

- Hej, łobuziaku, zachowuj się przyzwoicie! - napomniął Dylan siostrzeńca, po czym odwrócił się i poszedł za pielęgniarką w głąb korytarza.

Katie patrzyła, jak się oddala, i choć rozsądek podpowiadał jej, że nie powinna się angażować, ponieważ mężczyzna ten ma nad nią zbyt wielką władzę - czuła, że jej zdradliwe serce za nim podąża.

Tara była przygotowywana do operacji i chciała udzielić Dylanowi kilku

wskazówek, ale on nie mógł się skupić na jej słowach.

Chętnie by go zabił albo przynajmniej mu przyłożył... Chciał zabić człowieka, którego nigdy przedtem nie spotkał. Chciał zabić mężczyznę, który był takim egoistą, że pozostawił Katie samą ze swą rozpaczą po stracie dziecka, wtedy gdy był jej najbardziej potrzebny. Co ona powiedziała? Że jej mąż poczuł ulgę!

Dylanowi nie mieściło się to w głowie.

- Żadnej czekolady, cukierków, zabawek, które grożą zadławieniem, hamburgerów, steków i homarów... - ciągnęła jego siostra.

Dylan spojrzał na nią uważniej. Dostała jakieś środki psychotropowe czy co?

- O czym ty mówisz?

Westchnęła.

- Ziemia do Dylana! Próbuję ci powiedzieć, jak się zająć dzieckiem.

- Dzieckiem? - Twarz Katie odpłynęła i wreszcie skupił się na siostrze. -

Przecież to nie ja będę zajmował się Jake'em. Gdzie jest Sam?

- W San Francisco. Mgła go zatrzymała. A więc jeśli nie chcesz, aby twój ukochany siostrzeniec trafił pod opiekę obcych ludzi, musisz podjąć wyzwanie. - Zaśmiała się słabo. - Wyjść na pozycję, jak to mawiacie w bejsbolu.

- Ha, ha, ha - powiedział bez krztyny humoru. - Kiedy Sam wróci?

- Nie mam daru przewidywania pogody, nawet gdy nie jestem nafaszerowana lekami.

Wysłuchawszy mnóstwa dodatkowych zbędnych rad, Dylan wrócił do poczekalni. Katie znalazła gdzieś pudło z zabawkami i siedziała na podłodze z Jake'em, nie zważając, że może pobrudzić ubranie. Chociaż w tym wypadku nie było się o co martwić. Dobrze, że choć zdjęła z głowy tę okropną chustkę i teraz włosy opadały lśniącą falą na jej szczupłe ramiona.

Jak urzeczona wpatrywała się w Jake'a. Wglądała tak pięknie. I pogodnie... jak Madonna.

Przyzwoita dziewczyna. Porządna. Inteligentna. Dziewczyna stworzona na

matkę.

Zdał sobie sprawę, że na zimnej szpitalnej podłodze siedzi kobieta, której proponował już wszystko: wystawną kolację, atrakcyjne imprezy, przejażdżkę motocyklem, romantyczny hotel z lodu...

Bez chwili wahania odrzuciła wszystkie propozycje. A potem, gdy wreszcie zrobił jej miłą niespodziankę, w dużej mierze przypadkowo - nie myślał przecież o jej matce, kupując dwa bilety - wtedy sama wystosowała do niego zaproszenie.

Robiła to także teraz, gdy siedziała na podłodze i bawiła się z dzieckiem, promieniejąc wewnętrznym blaskiem. Zapraszała go do życia, od którego się odwrócił, gdy zachorowała jego matka. Do życia, które było nieprzewidywalne i zbyt kosztowne uczuciowo.

Dlatego unikał jej od chwili, gdy nieśmiało zaprosiła go na kawę. Po tańcu z biletami na Taca Revola i pocałunku uznał, że gra się definitywnie skończyła. Ryzyko stało się zbyt duże. A jednak ich życie znów się splotło.

- Dziękuję, Katie - powiedział, podchodząc do niej.

- Jak się czuje twoja siostra?

- Jest na prochach. Uważa, że jestem dobrym kandydatem do opieki nad Jake'em.

- A nie jesteś? Nigdy przedtem się nim nie zajmowałaś? Jakim cudem założył sobie na tyle zaufania?

- Zabrałem go może ze dwa razy do centrum handlowego i do parku. Ten mały łobuziak działa jak magnes. Gdy z nim jestem, wszystkie kobiety na mnie lecą. - Próbował z powrotem postawić barierę, którą wcześniej stworzyły nieznane jej kobiety. Tara. Sarah. Janet. Margot.

- No wiesz, wykorzystywać dziecko do takich celów!

- Jego użyteczność jest ograniczona - powiedział.

Podziałało. Katie wyglądała na przerażoną. Katie, kochanie, proszę, zobacz mnie w złym świetle. Zdecyduj, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, ponie-

waż ja, nawet jeśli podejmę taką decyzję, nie będę w stanie jej dotrzymać.

- Użyteczność dziecka jest ograniczona?

- Och, on jest fajny, ale niestety regularnie moczy pieluchy. I najczęściej wtedy, gdy zaczyna się dzieć coś interesującego. Kiedyś, gdy na mnie nasikał, myślałem, że puszcze pawia.

- Oto Nieustraszony Dylan McKinnon! - Wybuchnęła śmiechem.

- Nie bądź taka przemądrzała. Nie było cię tam.

- W szkole średniej zajmowałam się pilnowaniem dzieci. Nie przerażała mnie zmiana pieluchy.

- Mówisz jak żołnierz, który nigdy nie walczył, a twierdzi, że nie boi się kul.

- To nie całkiem to samo.

- W porządku, zmiana pieluch mnie przeraża i jestem dość odważny, żeby się do tego przyznać.

- Doceniam twoją wrażliwość - rzuciła ironicznie.

- Tylko nie mów o tym nikomu, bo będę skończony. I przestań się uśmiechać!

Najtrudniej radził sobie z tym uśmiechem, który ją rozświetlał. Od samego początku się go obawiał, wiedząc, jak na niego działa. Ten uśmiech wart był wszystkiego. Nawet stawienia czoła własnym lękom.

- Dlaczego wszyscy uważają, że dręczenie mnie jest zabawne?

- Och, nikt nie chce cię dręczyć. Chodzi o to, że przeraża cię taka urocza kochana istotka jak małe dziecko.

- Nie nazwałabyś go tak, gdybyś widziała, jak marszczy czoło, wstrzymuje oddech i robi się purpurowy.

Zaczął grę, która go przerosła. Uczucia, które się w nim rodziło, nie zdoła kontrolować. Już nigdy nie zapomni piękna, które odkrył w twarzy Katie.

Czy nie o to mu chodziło? Jakiś instynkt podpowiadał mu, że ona jest piękna i chciał, aby znów tak wyglądała. Chciał widzieć, jak nadzieje i marzenia lśnią znów w jej oczach, chciał się przekonać, że mimo ciężkich przeżyć jakaś cenna część niej

nie uległa zniszczeniu. I osiągnął cel.

- Nie zamartwiaj się tak - powiedziała, podnosząc na niego wzrok i marszcząc nos.

Przyszło mu do głowy, że Katie w jakiś zdumiewający sposób odkryła jego prawdziwą naturę. Nigdy nie dał po sobie poznać, że jest czymś wstrząśnięty albo się czegoś boi. Nawet gdy stał w drzwiach samolotu, przygotowując się do skoku, nie okazał strachu. Rzucił jakiś dowcip, wywołując salwy śmiechu.

Ale miał niejasne wrażenie, że gdyby Katie tam z nim była, w mgnieniu oka domyśliłaby się prawdy. Tak samo jak pół godziny temu wiedziała, że należy wyjąć mu z ręki kluczyki.

- A więc jaki jest plan bitwy? - zapytała, wstając i otrzepując swoje okropne przykrótkie spodnie.

- Taki sam jak zawsze - odparł. - Przetrwanie. - Nie był tylko pewien, czy ma na myśli opiekę nad dzieckiem.

Spojrzała na niego nieufnie.

- W bitwie na ogół chodzi o zwycięstwo.

Doskonale o tym wiedział. Miał ustalony plan bitwy, chciał udowodnić, że przyzwoita dziewczyna umówi się z nim na randkę. W zamian chciał ofiarować jej nadzieję, a potem, gdy misja dobiegnie końca, elegancko się wycofać. A teraz plan zaczynał się rozmywać niczym oaza w rozedrganym powietrzu pustyni.

Przynajmniej musi przetrwać.

- Zawiozę go do domu siostry - rzekł w przypływie odwagi. - Mam klucze. Dom jest bezpieczny dla dziecka i jest tam wszystko, co potrzeba.

- Myślisz, że zostawię cię samego z dzieckiem? - Na jej twarzy pojawiła się determinacja.

- Dam sobie radę.

Przewróciła oczami.

- Nie, nie dasz rady.

Powinien poczuć się urażony, ale o dziwo doznał ulgi. Miał mętlik w głowie. Przedtem, nawet gdy mu odmawiała, wiedział, że panuje nad sytuacją. Teraz stracił to przekonanie, natomiast był absolutnie pewien, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Dam sobie radę - powiedział z większą stanowczością. - Codziennie podejmuję decyzje warte milion dolarów. Jestem w zarządzie trzech organizacji charytatywnych. Co to takiego opieka nad dzieckiem?

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Dylanie McKinnon, czy kiedykolwiek opiekowałeś się jakąś rośliną choćby przez trzy tygodnie?

- Jaką rośliną?

- Jakąkolwiek. Kwiatami w ogrodzie, rośliną doniczkową.

Przypomniał sobie wiele roślin, które uschły, ponieważ zapomniał je podlewać.

- Czymkolwiek zielonym - nalegała.

- Na przykład ręcznikami?

Pokręciła głową.

- Czymś żywym.

Mieszka w apartamencie. Nawet nie musi dbać o trawnik!

- To, że moje rośliny... cóż, nie rozwijają się świetnie, nie ma tu nic do rzeczy.

- A miałaś może psa lub kota? Lub przynajmniej rybki?

Popatrzył na nią ze złością.

- Mój styl życia nigdy mi nie pozwalał na trzymanie zwierząt.

- Właśnie to miałam na myśli. Nie wiesz, co to znaczy roztoczyć nad kimś opiekę.

- Dużo podróżuję. Ale wiem, co to znaczy opieka! Dbam o samochód. Jeśli nie zauważyłaś, jest regularnie woskowany.

- Chodziło mi o żywe istoty - poprawiła.

Z uporem podniosła głowę. Przezorny mężczyzna już dawno by brał nogi za pas. Ale on teraz ma dziecko pod opieką. A zresztą podobała mu się jej butna mina.

- A wracając do samochodu - powiedziała - masz fotelik dla dziecka?

To był rozstrzygający argument. Dylan McKinnon zrozumiał, że Katie Pritchard jest mu potrzebna. Tylko jej mógł zaufać w tak ważnej sprawie jak bezpieczeństwo siostrzeńca w samochodzie.

Nagle dziecko zmarszczyło czoło, wstrzymało oddech, a jego buzia zaczęła przybierać ów bardzo niestosowny odcień czerwieni.

To żalosne, ale Dylan nie tylko potrzebował Katie. On jej potrzebował rozpaczliwie.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Patrzyła na Dylana ze zdumieniem. Oto mężczyzna, który skakał na spadochronie i na bungee, brał udział w wyścigach motocyklowych i - o czym właśnie sam przypomniał - podejmował decyzje warte wiele milionów dolarów.

A mimo to pot wystąpił mu na czoło, a w jego cudownych niebieskich oczach zabłysł strach. Nerwowo bębnił palcami po umięśnionym udzie.

A wszystko dlatego, że jego ukochany siostrzeniec zastygł w bezruchu, a na jego zaczerwienionej, pucołowatej buzi pojawił się wyraz najwyższego skupienia.

- Czy on...? - spytała Katie niepewnie. - No wiesz...

Dylan nie musiał odpowiadać. Do ich nozdrzy docierał charakterystyczny zapach. Po chwili wyraz koncentracji ulotnił się z twarzy Jake'a, on sam zaś zagulgotał, jakby był niezmiernie z siebie zadowolony, i wrócił do zabawy.

- Co teraz? - spytał półgłosem prezes Daredevils.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Och, co za absurd, zreflektowała się. To tylko małe dziecko, a wprowadziło w zakłopotanie dwoje dorosłych ludzi! Nie potrafiła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

A kiedy Dylan spojrział na nią zdezorientowany, myśląc, że śmieje się z jego słabości, zaczęła wprost zanosić się ze śmiechu. Dylan patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Kolejny absurd. Tak mógłby na nią patrzeć mężczyzna podczas eleganckiej kolacji przy świecach, gdy miałaby na sobie wytworną małą czarną, włosy upięte w kok, brylanty w uszach, a wargi pociągnięte kuszącą czerwoną szminką. Ale nie w takich okolicznościach!

I z tego powodu pękała ze śmiechu? Wróć do rzeczywistości, Katie Pritchard. Oblizwała usta z niezadowoleniem.

- Powinnaś robić to częściej - zauważył, a potem umknął wzrokiem w bok,

jakby nie chciał się z czymś zdradzić.

- Co powinnam robić częściej? - Wzięła głęboki oddech, ponieważ zrobiło jej się słabo, gdy jego oczy na moment przywarły do jej ust.

- Śmiać się.

A już miała nadzieję, że częściej oblizywać usta.

- W porządku, panie Nieustraszony - powiedziała. - Czekam na plan.

- Przecież tylko ty potrafisz utrzymać rośliny przy życiu.

Pojawiła się starsza siwowłosa pielęgniarka. Wyglądała na bardzo kompetentną.

- W recepcji można wynająć fotelik samochodowy dla dziecka - poinformowała.

Dylan uśmiechnął się tak promiennie, jak tylko on potrafił. Katie odgadła, do czego zmierzał.

- Och, jesteśmy dwójką amatorów, którzy nie mają pojęcia o zmienianiu pieluch. A zwłaszcza tych brzydko pachnących... Czy mogłaby pani udzielić nam szybkiej lekcji, zanim zabierzemy dziecko do domu?

Pielęgniarka uśmiechnęła się szeroko. Czy można się było oprzeć urokowi Dylana McKinnona?

- Z przyjemnością.

Parę chwil później, gdy znaleźli się w małej łazience, okazało się, że Katie przeceniła jednak wdzięk i czar Dylana. Pielęgniarka kazała mu samemu przewinąć dziecko!

Katie zawsze myślała, że pewnego dnia będzie robić to ze swoim mężem. Gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, zaczęła kupować pieluchy, śpioszki, smoczki i zabawki. Zaplanowała wszystko. Ale czy rzeczywiście mogłaby liczyć na pomoc Marcusa? Dotychczas nawet nie pozwalała sobie na takie pytania. Teraz w jej głowie szalały sprzeczne myśli. Czy czułaby się równie samotna w swoim macierzyństwie, jak zaczynała się czuć w małżeństwie?

Dylan z zaciętą miną starał się sprostać karkołomnemu zadaniu. Nie potrafiła sobie wyobrazić w tej roli Marcusa...

Dylan spojrzał na nią z ukosa.

- Czy mam coś na sobie? - szepnął.

- Co takiego?

Popatrzył na nią, potem na dziecko.

- Coś brązowego...

- Wyglądasz w porządku. Jak na razie.

Dziecko zagruchało uszczęśliwione i pomachało nogami.

- Wolałbym, żeby tego nie robił - powiedział Dylan ponuro.

- Ja też - przyznała.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Przyłączyła się do nich pielęgniarka. Spontaniczna lekcja zmiany pieluchy była dziwnie intymnym przeżyciem. Rodzicielskim. Katie poczuła ukłucie tęsknoty za tym, co odebrał jej okrutny los.

Musiała sobie przypomnieć, że sama wycofała się z życia w obawie przed kolejnymi porażkami. Zrobiła to z rozsądku, by ponownie nie cierpieć. Ale gdy przyglądała się, jak Dylan przewija dziecko, ból nieuchronnie powracał.

- Niech pan uchwyci stopy jedną ręką, o tak, podniesie go i wytrze - instruiowała pielęgniarka.

Jak na mężczyznę, który z powodzeniem uprawiał sport, Dylan prezentował zadziwiającą nieporadność. Brakowało mu zręczności, za to był bardzo zdeterminowany. Popatrzył wilkiem na Jake'a, wziął głęboki oddech i zrobił co trzeba.

- Nie wymigujesz się od czarnej roboty, prawda? - zauważyła Katie.

Ludzie uważali, że wszystko przychodzi mu bez wysiłku, ale to nie jest prawda, pomyślała. Dylan ma w sobie wolę walki i ciężko pracuje. To dlatego odnosi sukcesy w interesach.

- Moja siostra jest przeciwnego zdania - odparł z namysłem. - Uważa, że stale się wykręcam. - Udało mu się w kolejnym podejściu skleić skrzydełka pieluchy.

Robota była skończona. Zadowolony z siebie, podniósł Jake'a do góry. - Następnym razem twoja kolej.

Szukała pretekstu, by zostać i dzielić z nim to cudowne rodzicielskie doświadczenie. Ale to nie jest dobry pomysł. Dylan potrafi już zmienić pieluchę. Poradzi sobie.

Bez niej.

- Moja siostra twierdzi, że przy własnym dziecku jest inaczej. - Uśmiechnął się rozbijającą. - Nie tak obrzydliwie.

Przy własnym dziecku...

- Planujesz mieć dziecko? - spytała jakby mimochodem i wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Kiedyś chciałem... - Wyglądał na zakłopotanego. - Ostatnio nie bardzo wiem, czego chcę.

Jeśli nawet nie usłyszała tego, co chciała, doceniła jego szczerość. Uchodził za człowieka niebywale pewnego siebie i nieustraszonego, a teraz w zaufaniu podzielił się z nią swoimi wątpliwościami.

Dylan nie wie, czego chce. A ona? Czego ona chce? Jeszcze miesiąc temu wystarczała jej kwiaciarnia i spokojne życie. Dziś już nie.

Poczuła strach. A jeśli straci drugie dziecko? Czy zdoła jeszcze raz to przeżyć? Skąd pewność, że z tym mężczyzną byłoby inaczej? Że potrafiłby z nią dzielić ten ciężar?

Szalone myśli. Przecież nawet nie wypła z nim filiżanki kawy! Wiedziała o nim mniej, niż zapisano na jego karcie bejsbolowej, a snuła fantazje, w których on gra główną rolę. O własnym dziecku. O rodzinnym domu. O mężczyźnie takim jak on...

Od takich fantazji chciała uciec, dlatego oddała się całkowicie pracy, dlatego wiodła proste życie: lektury, koty, spacer z mamą. Dobrowolnie i świadomie wycofała się z damsko-męskich gier. Nie była dostatecznie silna, by znów stanąć w

szranki. Jeszcze nie teraz. A może już nigdy? Przypomniała sobie, że lubi swój poukładany świat.

A może raczej lubiła?

Popełniła błąd, patrząc na dziecko i jego wujka.

Jake, przytulony do piersi Dylana, ssał kciuk. Ten obrazek wywołał ból w jej sercu. Silny, pewny siebie Dylan w żywym kontraście z dziecięcą bezradnością. Ale w oczach Dylana, gdy patrzył na małego chłopca, malowała się tkliwość, która łagodziła jego rysy, i w efekcie wyglądał teraz bardziej atrakcyjnie niż kiedykolwiek.

Tygodnie opierania się urokowi Dylana McKinnona poszły na marne. Czowała się słaba i bezradna. Skapitulowała pod jego urokiem, tak jak wiele kobiet przed nią, czego się zapewne spodziewał. Powinna pamiętać, że Dylan wyrusza na podbój jak drapieżnik, pewny swej zdobyczy.

Musi z tym skończyć. Przynajmniej jedna kobieta na świecie nie rzuci mu się do stóp. Nie może to jednak wyglądać na ucieczkę. To by tylko zaostrzyło jego apetyt.

Pielęgniarka przyniosła fotelik samochodowy.

- Zabierz Jake'a do domu - powiedziała Katie twardo. - Złapię taksówkę.

Dylan spojrzał na nią, potem na dziecko. I znów na nią. Na jego twarzy odmalowała się niepewność.

- Myślałem, że nie można mi powierzyć nawet kwiatków doniczkowych - przypomniał.

- To prawda. Ale możesz zadzwonić po pomoc, jeśli będziesz potrzebował.

- Wiem - mruknął, po czym przełożył dziecko na drugie ramię i schylił się po fotelik.

- Poczekaj, pomogę cię.

- Dzięki. - Wręczył jej Jake'a.

Była zadowolona. Jeszcze jedna okazja, by przytulić małe ciepłutkie ciało,

poczuć cudowny zapach dziecięcego szamponu.

Wyszli na parking. Dylan przez chwilę zmagał się z montażem fotelika na tylnym siedzeniu samochodu.

- No, gotowe - oświadczyła.

Ona też jest gotowa. Gotowa do powrotu do swojego życia, gotowa zapomnieć o zapachu dziecka i wyrazie oczu mężczyzny.

Nie kłam! Głośno zaś powiedziała:

- Możesz zadzwonić, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Czyż nie zabrzmiało to chłodno i rzeczowo? Była zadowolona, że udało jej się zręcznie zamaskować fakt, że widok mężczyzny z dzieckiem w ramionach tak zdradziecko podziałał na jej wyobraźnię.

Dylan sięgnął po Jake'a.

- Chodź, maluszk, pojedziesz ze swoim ukochanym wujkiem. - Spojrzał groźnie na Katie. - Tylko nikomu o tym nie opowiadaj.

- O czym?

- O wujku.

Podniosła dwa palce na znak przysięgi.

- No chodź, Jake.

Ale malec mocno wtulił się w Katie, popatrując ukradkiem na swego wujka.

- Nie!

Usiłowała go od siebie oderwać, ale okazało się, że mała pulchna rączka trzyma ją kurczowo za włosy. Gdy Dylan, obejmując dziecko za brzusek, niechcący dotknął ręką jej piersi, poczuła ogień. Ich oczy się spotkały. Oderwał szybko rękę.

- Nie ty! - poinformował go Jake, mocniej ściskając Katie za włosy. - Ona!

- Jedziesz ze mną - stwierdził stanowczo dyrektor firmy wartej miliony. -

Chodźmy.

- Nie, nie, nie! - krzyczał Jake wniebogłosy.

Jakiś przechodzień spojrział na nich z zaciekawieniem.

- Cicho, maleńki.

W szorstkim głosie Dylana pobrzmiwała ujmująco czuła nuta, która przypawiła Katie o dreszcz. Ale na dziecku nie zrobiło to wrażenia. Otoczył rączką jej szyję, a kiedy Dylan pochylił się ku niemu, wyciągając ramiona, odwinął się i przyłożył wujkowi w ucho.

- Ejże, Jake, uspokój się! - Dylan, nie nadużywając siły, rozprostował małą piąstkę.

Katie była pod wrażeniem delikatności, z jaką Dylan traktował dziecko, z drugiej zaś podziwiała niezwykłą odporność Jake'a na urok wujka. Malec zapisał, przyciskając się do niej jeszcze mocniej, a kiedy Dylan próbował go od niej oderwać, zarobił w szczękę.

- Poddaj się, mały - rzekła Katie, czując instynktowną sympatię do biednego dziecka - zanim zrobisz sobie krzywdę.

- To raczej on mnie robi krzywdę - sprostował Dylan.

Niechętnie odsunął się o krok. Jake spojrział na niego ze złością i usadowił się wygodnie w ramionach Katie. Po chwili włożył kciuk do ust, tłustymi paluszkami drugiej ręki kurczowo trzymając ją za włosy, i zamknął oczy.

- I pomyśleć, że ty nigdy nawet nie dałaś mu czekolady ani nie zabrałaś go do parku! - zauważył Dylan z ironią. A potem dodał z satysfakcją: - Zaślinił ci bluzkę.

- Nie szkodzi.

Wyciągnął koszulę ze spodni i jej rąbkiem wytarł buzię Jake'a. Przez chwilę Katie mogła podziwiać fragment jego twardego umięśnionego brzucha.

Znów niebezpieczne myśli zakłębiły się w jej głowie - myśli, które desperacko pragnęła od siebie odsunąć.

A gdyby to wszystko działo się w jej prawdziwym życiu? Gdyby Dylan był jej mężem? Nie mogła się powstrzymać i zerknęła na jego usta. Przypomniała sobie, jak smakują. Pomyślała o świętych i sekretnych rzeczach, które dzieją się po-

między mężczyzną i kobietą, kiedy płodzą dziecko...

- Spróbuj posadzić go w foteliku! - Dylan przywołał ją do rzeczywistości.

Nie chciała oddać dziecka, ale zdawała sobie sprawę, że gra zaczyna się robić niebezpieczna. Odczepiła pulchną rączkę od swoich włosów.

Jake otworzył oczy i zerknął na Dylana podejrzliwie.

- Ejże, wielka imitacja Chucky.

- Kogo?

- Chucky, obłąkanej laleczki, która wraca do życia. Z horroru. Na pewno by ci się nie spodobał.

- A tobie się podobał? - zapytała.

Dorosły facet lubi takie głupoty? Chętnie zobaczyłaby w nim choćby małą wadę. Cóż, jest kobietą zrozpaczoną.

- Oczywiście, że lubię Chucky. Dziś to już klasyka.

Jake się trochę uspokoił, więc Dylan znów wyciągnął rękę po siostrzeńca. Ale ledwie go dotknął, chłopiec krzyknął. Dylan oderwał rękę, jakby się oparzył, ale po chwili ponowił wysiłki. Tym razem nie musiał nawet dotykać malca. Jake rozryczał się na dobre.

- Trudno oczekiwać, że będzie grzeczny z kimś, kto lubi laleczkę Chucky - stwierdziła Katie. - A gwoli ścisłości, klasyka to „Jane Eyre”.

- On nie odróżnia Chucky od Jane.

- Dzieci wyczuwają dobrą i złą atmosferę - oznajmiła i jakby na potwierdzenie jej słów dziecko dmuchnęło bąbelkami śliny w stronę swego wuja.

- Mały diabeł - mruknął Dylan. - Wojuje ze mną. I co gorsza, wygrywa! - Wsunął ręce do kieszeni. - Nigdy mu nic nie zrobiłem, przysięgam! - Zerknął z namysłem na dziecko i na Katie, a potem rozciągnął usta w uśmiechu. - Och, rozumiem. Woli ładną i miękką „atmosferę”.

Jakby na potwierdzenie tych słów, malec mocniej wtulił się w piersi Katie.

Zauważyła, że Dylan przypatruje się jej dekolтови z wielkim zainteresowa-

niem. Zaczerwieniła się, ale była zdumiona, ponieważ on również się zaczerwienił i szybko odwrócił wzrok.

Katie posadziła wreszcie Jake'a w foteliku, ale chłopczyk przyglądał się rozwojowi wypadków podejrzliwie. Katie zastanawiała się, jak Dylan poprowadzi auto, gdy jego siostrzeniec zda sobie sprawę, że ona z nimi nie wsiadła.

- Katie, wskakuj. Na pięć minut. Wiem, jak pracuje męski umysł. Łatwo się rozprasza. Nasz pierwszy przystanek to sklep z zabawkami Bill's Wild Toy. Kupię Jake'owi tego nakręcanego byka, którego reklamują w telewizji, a potem podrzucimy cię do kwiaciarni.

Wahała się przez chwilę. To nie jej życie, nie jej mężczyzna, nie jej dziecko. To nie jest mężczyzna, z którym w ogóle mogłaby mieć dzieci. Właśnie wytłumaczył, jak pracuje jego umysł. Wystarczy podsunąć mu coś lub kogoś bardziej interesującego.

A jednak skapitulowała. Wmawiała sobie, że robi to dla dobra Jake'a.

W sklepie, który mógł zaspokoić wszelkie dziecięce marzenia, Jake przywarł do Katie jeszcze mocniej. Nie był przekupny; nie dał się omamić ani metrowej wysokości bykiem, ani kolorowymi piłkami czy czerwonymi ciężarówkami. Brak entuzjazmu ze strony Jake'a nie zniechęcił jednak Dylana, który załadował dwa wózki zabawkami i jeden z nich ciągnął za sobą, drugi zaś popychał w stronę kasy.

Czy można godzinę kupować zabawki z Dylanem, patrzeć, jak z entuzjazmem małego chłopca bawi się zdalnie sterowanymi samochodzikami, i jeszcze bardziej się w nim nie zakochać?

Rozpoczęła się właśnie wiosenna przecena i w sławnym sklepie z zabawkami pełno było kobiet. Młodych i starszych, mamus i singielek, ładnych i przeciętnych.

Katie odniosła wrażenie, że Dylan przykuwa wszystkie spojrzenia. Wydawało się jednak, że pochłonięty zabawkami, nic sobie z tego nie robi. Niektóre z tych spojrzeń były nieśmiałe, inne otwarcie zachęcające, ale wszystkie przypominały Katie, że Dylan jest sławny, a ona szarą myszką. Iluzja, że ona, Dylan i Jake są

zwyczajną rodziną kupującą zabawki, przysła.

Niektóre kobiety patrzyły na niego jak na dzieło sztuki, w oczach innych pojawiało się pożądanie.

Nie wyglądał na mężczyznę, który łatwo się rozprasza, nie zauważył bowiem poruszenia wokół siebie. Z niekłamaniem zainteresowaniem bawił się zdalnie sterowanym helikopterem, skaczącym gumowym kłownem oraz wrzucał plastikowe piłki do kosza. Co do kosza, Katie była niemal pewna, że się przed nią popisuje.

Gdy wrócili do samochodu obładowani zakupami, Dylan w zdumieniu przypatrywał się siostrzeńcowi, który nowym zapaśniczym chwytem przytrzymał się Katie.

- Ona! - oświadczył kategorycznie, gdy wsadzała go do fotelika.

- Jeśli go opuścisz, dostanie kolejnego ataku złości - wywnioskował Dylan.

- Prędzej czy później musisz sobie z tym poradzić - odparła, chociaż prowadzenie samochodu w godzinach szczytu nie jest odpowiednim momentem na próbę sił.

- Piesek! - Dylan strzelił palcami. - Kupię mu szczeniaczka, a potem cię odwiozę.

- Już ustaliliśmy, że nie umiesz zaopiekować się rośliną, a co dopiero szczeniakiem!

- Ale kiedy on dostanie psiaka, nawet nie zauważy, że się ulotniłaś.

Ciekawe, czy Dylan zauważyłby, że odeszła, gdyby miał szczeniaka do zabawy? Pewnie nie.

Spojrzała na niego pytająco. Czy próbuje się jej pozbyć? Czy wyczuwa, tak jak ona, że trzyma ich przy sobie jakaś potężna nieodparta siła? Czy słyszy wewnętrzny głos, który podpowiada: chodź ze mną, chodź...?

Ona słyszała głos swego serca. Było to odwieczne instynktowne wołanie. Ale pójście za tym głosem nie jest łatwe, może bowiem zmienić wszystko. Czy Dylan też to czuje? Czy próbuje uciec przed wyborem: serce czy rozum?

Teraz zaczął grzebać w jednej z toreb. Wyjął piłeczkę pingpongową przymocowaną do rakiетки i zaczął się nią bawić, by rozerwać Jake'a. Nie wyglądał na mężczyznę, który wsłuchuje się w wewnętrzne głosy.

- Jedźmy do domu twojej siostry - rzekła Katie zrezygnowana. - On szybciej uspokoi się w znajomym otoczeniu. Na pewno zechce spać. Kiedy zaśnie, wymknę się cichaczem, a gdy się obudzi, zobaczy zdalnie sterowany helikopter. Nawet nie będzie pamiętał, że wyszłam.

- Dzięki, kochana Katie.

Chciał, żeby z nimi została.

- Zadzwońię do pani Abercrombie i powiem, żeby zamknęła sklep.

- Nie pożałujesz.

Już żałowała. Wiedziała, że wychodzi naprzeciw swemu sercu. A droga ta jest zdradliwa. Zaczyna się jak miły niedzielny spacer po lesie, ale może wyprowadzić na ruchome piaski, skąd nie ma już odwrotu.

- I tak możemy kupić szczeniaczka.

Tęskny głos Dylana rozproszył ponure myśli Katie. Gdy otworzył dla niej drzwi, wśliznęła się do środka.

- Ona! - zaszczebotał Jake.

Dylan zajął miejsce za kierownicą i włączył się łagodnie do ruchu.

- Wiesz co? - odezwała się Katie. - Twój siostrzeniec nie ma jeszcze dwóch lat, a próbuje cię czegoś nauczyć.

- Czego na przykład?

- Nie można zastąpić ludzi rzeczami. On chce swojej mamusi i niczym go nie przekupisz. Ani drogimi zabawkami, ani pieskiem.

Dylan pokiwał głową z udawanym żalem.

- Nie cierpię, gdy masz rację, Katie.

- A kiedy nie może mieć mamusi, wybrał mnie - ciągnęła. - Jesteś więc ze mną związany, przynajmniej na jakiś czas.

Dylan odetchnął usatysfakcjonowany.

- Długo czekałem, by usłyszeć od ciebie te słowa, Katie, kochanie.

- Nie rób sobie nadmiernych nadziei. Nie zamierzam zostać adresatką bukietu numer dwa.

- Właściwie też nie przepadam za tym bukietem - przyznał Dylan ze skruchą.

Nie mogła wytrzymać. Roześmiała się. Potem dziecko się zaśmiało i Dylan się roześmiał. Czują, że życie ofiarowało jej najwspanialszy podarunek, którego najmniej oczekiwała. A kobieta nie potrafi zamknąć swego serca przed takim darem.

- Mniem, mniem. - Dylan patrzył na Jake'a, który zaciskał usta na widok karmelowego puddingu.

Trzeci dzień opiekowali się Jake'em. San Francisco nadal spowijała mgła, Tara czekała na następną operację. Dylan zwątpił, że jego szwagier kiedykolwiek wróci do domu, podejrzewał też, że siostra polubiła szpital.

Nic dziwnego, skoro ich syn jest potworem!

A z drugiej strony Dylan uświadamiał sobie, że pragnie, by ta zabawna przygoda, którą dzielił z Katie, trwała wiecznie. Kto by przypuszczał, że spędzanie z nią czasu okaże się takie miłe? Oczywiście wiele razy próbowała odejść, ale Jake reagował jak radar. Gdy tylko drzwi się za nią zamykały, zaczynał wrzeszczeć wniebogłosy.

Pierwszej nocy, gdy Jake obudził się i zorientował, że jego ukochana mamusia i Ona zniknęły, zaczął krzyczeć co sił w płucach. Dylan próbował wszystkiego: zmiany pieluchy, ciasteczek, nowych zabawek, butelki. Gdyby mógł zdobyć w środku nocy pieska, też by spróbował.

W końcu uciekł na frontowy ganek, ale i tu dobiegał donośny głos Jake'a. Gdy sąsiedzi zaczęli zapalać światła, poddał się i zadzwonił po Katie. Oczywiście znał wiele kobiet, ale tylko jej jednej całkowicie ufał. Nie mógł się nadziwić, jak to się stało, że w ciągu minionego roku nabrał do Katie takiego zaufania.

- Słucham? - powiedziała zaspanym głosem.

Wyobraził ją sobie potarganą, ciepłą od snu, i nagle zrozumiał, jak wielkim był egoistą.

- Przepraszam, nie powinienem cię budzić.

- Dylanie, co się dzieje? Czy to Jake płacze?

Jej głos odebrał jak linę ratunkową.

- Nie mogę go uspokoić, Katie. Jestem o krok od samobójstwa.

Roześmiała się.

- Posłuchaj... - Odsunął słuchawkę, a potem dodał: - Czy Ona może przyjść?

Katie zjawiała się niebawem. Ukołysała zrozpaczone dziecko do snu, śpiewając mu piosenki, które zapadły w sercu Dylana na wieki. Ale za każdym razem, gdy próbowała położyć Jake'a do łóżeczka, budził się i zaczynał kwilić, wczepiając piąstki w jej włosy. W końcu usnęła w bujanym fotelu obok jego łóżka.

Dylan przykrył ją kocem. Poczul przyływ emocji na widok łagodnego piękna, jakie malowało się na jej spokojnej twarzy. Przeżyła dramatyczny życiowy zakręt, ale on jej nie zniszczył, przeciwnie, uczynił ją lepszą i szlachetniejszą. Jej delikatna dusza pozostała nietknięta. Nadal gotowa była żyć i dawać z siebie wszystko z cichą odwagą, która była niewiarygodnie piękna.

Nazajutrz, kiedy Jake się zdrzemnął, opuściła ich na chwilę, by niedługo wrócić z małą walizką. Zajęła gościnny pokój. Dylan robił w życiu wiele ekscytujących rzeczy, kochał prędkość i nagłe skoki adrenaliny. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że zabawy w ogrodzie, kopanie grządek czy wprowadzanie Jake'a w tajniki robienia kompostu i patrzenie na Katie, jak ściera brud z twarzy dziecka, dawały mu o wiele większą satysfakcję?

Bywał w wielkim świecie, rozmawiał ze zdobywcami Oscarów, gwiazdami rocka i olimpijczykami. A więc jak to się stało, że kieliszek wina z Katie po kolacji, kiedy Jake zapadał w sen, wydawał mu się bardziej zajmujący?

Biegał w maratonach i przyjmował trofea, ale kiedy wsiadł na rower, do któ-

rego był przymocowany mały pojazd dziecięcy na kółkach, i Katie jechała obok niego, rozmyślnie wjeżdżając na pełnym gazie w kałuże i śmiejąc się radośnie, czuł się spełniony.

A teraz to. Karmienie Jake'a puddingiem w jej towarzystwie wydawało się ciekawsze niż kolacja w luksusowej restauracji.

- Spróbuj z samolotem - zasugerowała Katie.

Mimo najbardziej wymyślnych zachęt Jake wykręcał się we wszystkie strony. W efekcie Dylan miał pudding we włosach i na koszuli. A gdy oddał łyżkę Katie, Jake natychmiast otworzył buzię jak żarłoczny ptaszek.

- Wszystko, co tam włożysz, musi wyjść drugą stroną - przypomniał jej Dylan.

- Przestań. Zachowujesz się grubiańsko.

- Realistycznie - upierał się, ale z gorszenia jej czerpał wielką przyjemność. To było takie proste, a rozbijało ochronne mury, które wokół siebie wzniosła. - Szczęśliwie na czas recyklingu Sam zdąży wrócić do domu.

- Na szczęście - zgodziła się, ale wiedział, że obawiała się powrotu męża Tary tak samo jak on. - Powinniśmy wysprzątać dom, zanim wróci.

W ciągu tych kilku dni Dylan rozpakował wszystkie zakupione zabawki. Gumowe piłki, pluszaki i klocki oraz kolorowe opakowania zaśmiecały cały dom. Rozbijali zdalnie sterowane samochody o meble i zostawiali ślady palców na kanapach. Dylana nie peszył fakt, że cieszył się zabawami daleko bardziej niż dziecko, któremu wystarczyły same pudełka.

- Moja kochana siostrzyczka kwituje wszystkie moje skargi słowami „przestań marudzić”, więc nie zamierzam sprzątać jej domu. - Katie roześmiała się. - A następnym razem, gdy poprosi mnie o bilety dla Sama na mecz Blue Jaysów, wiesz, co dostanie? Figę z makiem!

Lubił rozśmieszać Katie. Lubił się z nią drażnić, a nawet, musiał przyznać, lubił się przed nią popisywać. A najważniejsze, że uwielbiał samą jej obecność.

Podobno psy i dzieci najlepiej poznają się na ludziach, a Jake niewątpliwie polubił Katie. Nawet pragnął ją mieć na własność. Co wieczór Dylan niecierpliwie czekał, by malec wreszcie usnął i pozostawił ich samych.

To była najprzyjemniejsza część dnia, gdy Katie zrelaksowana siedziała obok niego na kanapie, sącząc wino.

Doszedł do wniosku, że powinien mieć jakiś plan, żeby sprawy ruszyły na przód. Ale z taką dziewczyną jak Katie trzeba postępować ostrożnie.

Czy może ją pocałować? Tak po prostu dotknąć ustami jej ust? Zwyczajny pocałunek, który wyraża podziękowanie, coś w rodzaju: „Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił”.

No cóż, nie miał dużej praktyki w tego rodzaju pocałunkach. Kiedy całował dziewczynę, zwykle było to preludium do głównego występu. A Katie nie jest taką dziewczyną. Taki jeden pocałunek może nieznośnie skomplikować życie ich obojga. To byłoby nierozsądne.

Oczywiście, zrobił to. Nawet nie czekając na właściwy moment, pomiędzy jednym kęsem puddingu a drugim, uległ pokusie. Jej usta były naturalne i czyste jak mgła nad dziewiczymi górami.

Oczywiście liczył się z tym, że go uderzy, rzuci w niego puddingiem, wstanie i wyjdzie... Ale usta Katie rozchyliły się, ciepłe i rozkoszne, jakby czekały na tę chwilę całe życie. To nie był drapieżny pocałunek Heather ani zalotny, lekomyślny, przewrotny czy wyuzdany tysiąca innych kobiet.

Usta Katie były zmysłowe, pieszczotliwe i czułe jak dotyk jedwabiu na świeżo umytej skórze.

Oderwał się od niej, zdumiony swym odkryciem.

A przecież wiedział przez cały czas, że pod nieśmiałą skromną powierzchownością ukrywają się prawdziwe skarby. Był znużony blichтром, powierzchownymi relacjami. W jakiś sposób go pustoszyły. Usta Katie obiecywały tę pustkę wypełnić.

Pragnął zaznać tego wszystkiego, czego ledwie skosztował: głębi, tajemnicy, współpracy, koleżeństwa, uczciwości. To wszystko dojrzał również na dnie jej przepastnych zielonożółtych oczu.

Bał się, że Tara miała jednak rację. Może zbyt długo błądził po bezdrożach, żeby zasługiwać na taką dziewczynę jak Katie?

Nie był podobny do jej eksmeża. Pragnął być dla niej opoką w trudnych chwilach. Czuł, że to jego przeznaczenie.

Och, oczywiście, korzystał z życia, z okazji, jakie stwarzały mu sława i pieniądze, ale nigdy niczego nie udawał. Nigdy nie twierdził, że jest gotów na stały związek. Był uczciwy aż do bólu, wiedząc, że każdy z jego związków zmierza... donikąd.

Dopiero przy Katie zobaczył w oddali takie miejsce, w którym nigdy nie był, a do którego pragnąłby dotrzeć. Miejsce, gdzie samotność, z którą czasami się borykał, zniknie jak mgiełka w delikatnych promieniach słońca.

Otrząsnął się na myśl o tym tak gwałtownie, że przewrócił krzesło przy kuchennym stole.

- Dylanie - powiedziała sztywno - sędzę, że nie powinieneś więcej tego robić.
- Nie wygłupiaj się - zbagatelizował i zajął się ciągnikiem, który kupił dla Jake'a.

Lubił rzeczy, które miały instrukcje. Skoki spadochronowe czy wyścigi motocyklowe odbywały się według ściśle określonych reguł. Jeśli się do nich stosowałeś, osiągałeś odpowiedni rezultat. Problemy zaczynały się wtedy, gdy łamano lub upraszczano zasady.

Wszyscy uważali go za śmiałka. Było w tym dużo prawdy. Lubił przyływ adrenaliny łączący się z każdym nowym wyzwaniem. Lubił aktywność, w której odnajdywał spełnienie. A teraz jeden mały pocałunek przewrócił wszystko do góry nogami. Musiał wreszcie spojrzeć niewygodnej prawdzie w oczy.

Nie był pozbawiony strachu.

Szczelnie wypełniał życie pracą, sukcesami, wyczynami sportowymi, ale robił to, żeby uciec przed uczuciem, które mogło nadać jego życiu sens.

Dylan McKinnon bał się miłości.

Kiedyś w nią wierzył. Myślał, że pewnego dnia znajdzie dziewczynę, z którą się ustatkuje. Założył, że będzie to wspaniały radosny związek, podobny do tego, jaki łączył jego rodziców, oparty na szacunku i partnerstwie.

A potem matka zachorowała. Z początku wyglądało to niegroźnie; lokówka w lodówce, przekręcanie słów... Ale choroba szybko postępowała. Dylan zapamiętał dzień, gdy zrozumiał, że już nic nie będzie takie jak dawniej. Siedział z matką w jej samochodzie, a ona popatrzyła na niego, nazwała go imieniem ojca i oświadczyła spokojnie, że nie pamięta różnicy pomiędzy pedałem gazu i hamulca.

Chociaż z jednej strony rozumiał, że ojciec nie może sobie z tym poradzić, poczuł wściekłość, gdy ojciec umieścił matkę w domu opieki, a potem rzadko i niechętnie ją odwiedzał. Dylan wierzył w miłość wieczną, na dobre i na złe. Okazało się, że to wielkie uczucie, które łączyło jego rodziców, rozpadło się, kiedy przyszły złe chwile.

Miał wrażenie, że stracił matkę, która jeszcze nie umarła, a jednocześnie swoje własne marzenia o szczęśliwej rodzinie.

Dopiero Katie sprawiła, że zakiełkowało w nim ziarno nadziei. Dobrze to czy źle? Bił się z myślami, bo w gruncie rzeczy Dylan McKinnon bał się miłości.

Osiągnął wszystko - pieniądze, sukces, sławę. Dopóki nie spotkał Katie, potrafił odsuwać od siebie niepokojące myśli, że mimo tego wszystkiego czuł wewnętrzną pustkę. Odrzucił bowiem jedyną rzecz, która czyni mężczyznę naprawdę bogatym.

Miłość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W życiu każdego człowieka zapewne padają takie słowa, których żałuje się aż do śmierci. Katie czuła głębokie wyrzuty sumienia. Po tym spontanicznym pocałunku nad puddingiem czy naprawdę powiedziała: „Dylan, sądzę, że nie powinieś tego więcej robić”?

Westchnęła. Na dobre go zniechęciła. Więcej nie próbował jej całować, chociaż czuła, że miałby ochotę.

Od kilku dni mieszkali razem w domu, który budził w niej sentyment nie tylko dlatego, że był bardzo piękny, ale ponieważ wyczuwała w nim miłość łączącą domowników.

Świadczyły o tym między innymi z dumą wystawione zdjęcia ślubne, a potem fotografie całej trójki. Jedno zdjęcie było szczególne: przedstawiało tylko ich dwoje, a Sam patrzył na żonę z takim zachwytem i pożądaniem, że Katie, oglądając je, czuła się jak intruz.

Zauważyła, że Dylan przygląda jej się ukradkiem w podobny sposób, a gdy dotykał jej dłoni, przedłużał ten moment ponad niezbędną konieczność. Zorientowała się, że bardzo często w jego obecności puls jej przyspiesza i trzepocze serce.

Mimo późnej pory i zmęczenia leżała bezsennie w gościnnym pokoju. Nie spodziewała się, że zajmowanie się dzieckiem może być tak wyczerpujące. Ale jednocześnie doszła do wniosku, że dziecko budzi w człowieku najlepsze instynkty, jakiś uspiiony potencjał, z którego istnienia nie zdajemy sobie sprawy. Na przykład Dylan przy Jake'u sprawiał wrażenie zupełnie innego mężczyzny; potrafił być nie tylko silny, ale także cierpliwy, skłonny do żartów, a zarazem odpowiedzialny. Przekonała się, że Dylan jedynie udawał playboya. W rzeczywistości był urodzonym ojcem. Przejrzała go na wylot i to przepełniło jej serce bolesną tęsknotą.

Pocałunek przy puddingu, w całkiem nieromantycznych okolicznościach, kompletnie ją zaskoczył. Wziął się znikąd. W jednej sekundzie karmiła dziecko, a

już w następnej wpadła w otchłań miłości. Ale w życiu tak bywa. Wydarzenia, które je zmieniają, często są przypadkowe i z pozoru nieistotne. Decyzja, aby pójść w inne miejsce, niż się zamierzało, skrzyżowanie spojrzeń z nieznanym w autobusie, odpowiedź na e-mail, zgoda na randkę w ciemno. Zwykłe życie, w które nieoczekiwanie wtrąca się przeznaczenie. Przeznaczenie...

W wieku dwudziestu sześciu lat dokonała niebywałego odkrycia, że podczas pocałunku następuje wymiana energii, jakby jakaś tajemnicza siła przepływała z jednej osoby na drugą, i czuje się rzeczy niezwykle, jakich się nigdy dotąd nie doświadczyło.

Ze zdumieniem odkryła, że pocałunki Marcusa nie dostarczały jej takich wrażeń, że były jakieś nijakie i nieodkrywcze. Gdyby miała wtedy więcej doświadczenia, zapaliłoby się w jej głowie czerwone światło.

Bo gdy wargi Dylana dotknęły jej ust, poczuła jego siłę, serce i duszę. Zrozumiała swoje przeznaczenie.

Człowiek zawsze ma wybór, przeznaczenie to droga z wieloma odgałęzzeniami. Można wybrać drogę bezpieczną, przewidywalną, przyjemnie malowniczą, dobrze oznakowaną i prowadzącą wprost do celu. Ale można również wybrać ledwie widoczną krętą ścieżkę, która pnie się stromo poprzez nieprzebyte lasy, a wędrowiec ma ciągle duszę na ramieniu i wrażenie, że zgubił mapę i kompas.

Katie wiedziała, dokąd zaprowadziła ją bezpieczna droga.

Skonstatowała ze smutkiem, że poślubiając Marcusa, instynktownie przeczuwała, że dostanie mniej, niż zasługuje, i o wiele mniej, niżby chciała. Rozpaczliwie pragnąc, aby jej marzenia się ziściły, uwierzyła, że z czasem mąż do nich dorośnie. Powiedziała sobie, że gdy urodzi dziecko, wszystko się ułoży. Ignorowała wyraźne sygnały z jego strony. Marcus chciał zrobić karierę i pieniądze. Rodzina była dla niego na drugim miejscu. Nie zauważała tego, a może nie przyjmowała do wiadomości. Aż zrobiło się za późno.

Czy to możliwe, że życie daje jej drugą szansę? A może to tylko złudzenie?

Czy mężczyzna taki jak Dylan - pewny siebie, odnoszący sukcesy i uroczy - może zainteresować się zwyczajną dziewczyną?

Cóż, jeśli nie chce spędzić reszty życia na próżnych żalach, musi zaryzykować.

Okazja puka do drzwi. Gdy Tara i Sam wrócą do domu, ich wspólna przygoda dobiegnie końca.

Zuchwałe myśli napęłniały ją przerażeniem, ale zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać. Zaczepnęła głęboko powietrza, wstała, wyjrzała na korytarz, a potem chyłkiem podeszła pod drzwi małżeńskiej sypialni, w której spał Dylan. Już wyciągała rękę do klamki, gdy nagle przyszło opamiętanie. Uciekła do kuchni i zapaliła światło. Napije się kakao. Musi się zastanowić, zanim zrobi głupstwo.

Spojrzała na siebie i jęknęła. Wpadła do domu tylko na chwilę po niezbędne rzeczy. Ale co jej przyszło do głowy, żeby wybrać akurat tę piżamę?

Na pewno nie myślała o uwodzeniu, wkładając szerokie długie spodnie i zapinaną na guziki obszerną górę z aplikacją w irlandzkie dzwonki, które miały przynieść powodzenie i łut szczęścia.

Westchnęła. Mieć szczęście to jednak nie to samo co być szczęśliwym.

Piżama nie była seksowna, ale Katie nie znosiła koronkowej bielizny. Na liść boską, koronki uwierają! Chociaż w tej chwili może dodałyby jej odwagi, żeby otworzyć drzwi do sypialni Dylana i obudzić go delikatnym pocałunkiem... Może warto byłoby się poświęcić?

Gdy otwierała szafkę w poszukiwaniu kakao, ze smutkiem zdała sobie sprawę, że takie będzie jej życie - bezsenne noce z kubkiem kakao przy łóżku.

- Cześć.

Upuściła puszkę na podłogę i odwróciła się na pięcie.

Życie naprawdę jest niesprawiedliwe. Dylan miał na sobie luźne spodnie od piżamy w kratkę, właściwie podobne do tego uniwersalnego modelu, w którym sama paradowała, ale na nim wyglądały wręcz zachwycająco. Opadały nisko, za-

trzymując się na kościach biodrowych i odsłaniając umięśniony, twardy brzuch. A jego naga klatka piersiowa wyglądała absolutnie doskonale.

Przez cały czas mu się opierała. A wystarczyło przecież, by zdjął koszulę...

Dylan pochylił się, podniósł leżącą na podłodze puszkę i postawił ją na blacie.

- Cześć - wyjąkała, po czym odwróciła się i udawała, że szuka czegoś w szafce. - Nie mogłam zasnąć.

- Ja też. To dziwne, bo jestem wykończony.

Zerknęła na niego ukradkiem. Serce tłukło jej się w piersi. Co właściwie zamierzała zrobić, kładąc rękę na klamce? Oblizwała usta.

- Katie, kochanie, nie rób tego.

- Czego? - zająknęła się.

- Nie oblizuj ust, proszę...

Powinna po prostu przytaknąć, ale pchało ją ku niemu uczucie wymykające się logice, która dotąd sterowała jej życiem. Weszła już na górski szlak.

- Dlaczego nie? - spytała prowokacyjnie.

Przesunął dłonią po zmierzwionych włosach.

- Ponieważ wyglądasz seksownie aż do bólu.

Wpatrywała się w niego zdumiona. Nie miała przecież na sobie koronkowej bielizny.

Odważną decyzję podjęła zupełnie niespodziewanie. Podeszła do Dylana.

Nie odrywał od niej wzroku, gdy zatrzymała się przed nim, przymknęła powieki i głęboko wciągnęła w nozdrza cudowny zapach gór. Położyła rękę na jego piersi, a on przykrył ją swoją, drugą zaś objął ją za szyję i przyciągnął do siebie.

Ciało miał silne i smukłe. Westchnęła. Miała wrażenie, że całe życie czekała na tę jedną chwilę. Przywarła do niego tak mocno, że czuła przez skórę bicie jego serca, a jej własne jakby do wtóru nuciło radosną pieśń życia i miłości.

Nie tylko dotarła na szczyt. Pojęła, że tam jest jej miejsce. Czuła, że może nawet poszybować z orłami.

Odchyliła głowę, a Dylan, patrząc na nią z uwielbieniem, pogładził ją po policzku. Gdy kciukiem przesunął po jej ustach, chwyciła go delikatnie zębami. W jego oczach pociemniałych z pożądania widniał zachwyt pomieszany z zaskoczeniem.

Wiedziała, że w ogóle nie zauważał jej koszmarnej pizamy. Patrzył na nią z takim żarem, tak przenikliwie, jakby chciał dotrzeć do najodleglejszego zakamarka jej duszy. Jakby chciał zobaczyć ją naprawdę. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył.

- Powiedziałaś, żebym więcej tego nie robił - wyszeptał.

- Wiem. I rzeczywiście miałam to na myśli.

- Żartujesz - rzekł zdławionym głosem.

- Nie. Teraz moja kolej. To ja cię pocałuję, Dylanie.

Uniosła się na palcach i objęła wargami jego usta. Smakowała je, badała, odkrywała. Dylan zrazu uległ kobiecej mocy i napawał się tą cudowną chwilą, ale nie wytrzymał. Z jękiem tłumionego pożądania zatopił dłonie we włosach Katie i zachłannie wpił się w jej usta. Jego wargi od nowa rozbudzały jej zmysły, uwalniały namiętne pragnienia długo więzione w wyobraźni i wreszcie skruszyły jej opór. Przestała myśleć, planować, przewidywać. Przestała się bać. Była wolna.

Wolna jak orzeł w przestworzach - dumny, niezłomny i majestatyczny.

Miała wrażenie, że słyszy odwieczny głos - wołający gdzieś z samej głębi, bez słów - nakazujący mężczyźnie i kobiecie, aby się połączyli. Tylko taki związek - głęboki, intymny, totalny - ma tę cudowną moc tworzenia życia, gwarantuje przetrwanie.

Takiego związku Katie pragnęła. Chciała zdobyć sam szczyt. Przestała zważać na koszty.

Gdy Dylan wziął ją w ramiona, zrozumiała, że wyszedł naprzeciw jej najgłębszemu pragnieniu. Poczwała się zadowolona z życia.

Całował w życiu setki kobiet, ale te wszystkie doświadczenia wydawały mu się podobne do siebie. Ot, zwykłe pocałunki dwojga ludzi kierowanych wspólną

potrzebą.

Ale z Katie pocałunek nie był tylko fizycznym przeżyciem. Gdy ją całował, ich usta spotykały się w pół drogi, a jednocześnie miał wrażenie, że jej dusza wybiega na spotkanie jego duszy i obiecuje poprowadzić go w miejsce, do którego nigdy przedtem nie dotarł. Pojął, że znalazł się w uścisku czegoś nieskończenie potężnego, wzniosłego i ostatecznego.

Czuł się jak człowiek, który przemierzając pustynię, widzi jedną oazę za drugą, ale każda z nich okazuje się mirażem, a tymczasem jego pragnienie narasta.

Nie pragnął seksu.

Pragnął związku. Pragnął dotrzeć do celu.

Uniósł ją w ramionach; była taka lekka, miękka i słodka. Ich ciała idealnie do siebie pasowały. Poczuł, jak znika cała jej ostrożność i coś się w niej otwiera, a w głębi znajduje się oaza, prawdziwy ogród życia i rozkoszy, gdzie mężczyzna może na zawsze ukoić pragnienie.

Zaniósł ją do małżeńskiej sypialni i położył na łóżku. Podziwiał jej pełne usta, jej niezwykle oczy błyszczące pożądaniem, jej rozrzucone na poduszce włosy.

Nie spuszczał z niej wzroku, gdy rozpiniała guziki piżamy. Chciał ją zapytać, czy na pewno tego chce, ale obawiał się, że słowa przerwą czar. Położył się obok i przytrzymał jej rękę, a potem sam rozpiął ostatnie guziki. Ale nie posunął się dalej. Chciała mu dać tak wiele...

Czy jest tego wart?

Nagle uświadomił sobie okropną prawdę.

Wiedział, że nie jest to odpowiedni moment na rozmyślanie o matce, a jednak przyszła mu do głowy prosta, a zarazem niezwykła myśl. Jego matka - taka, jaką znał - odeszła, ale pozostanie dla niego na zawsze wzorem kobiety absolutnie uczciwej. Powinien zachować w pamięci to wszystko, czego go nauczyła i według tych wzorów żyć.

Będzie postępował właściwie. Tak, aby mogła być z niego dumna. Przyzwo-

icie, jak by to określiła jego siostra.

Gdyby postąpił tak, jak postępował z kobietami przez cały miniony rok, sprzeniewierzyłby się wszystkim naukom, jakich udzieliła mu matka, i co gorsza, zbezczęściłby to, co ofiarowywała mu Katie.

Powinien postępować honorowo, nieważne jak bardzo to jest trudne.

W tej chwili było to bardzo trudne. Zawsze beztrósco angażował się w romanse. Nie myślał o przyszłości, nie zastanawiał nad krzywdą, jaką może wyrządzić drugiej osobie. Ale wyrządzić krzywdę Katie? Przyjąć od niej ten największy dar, ot tak, bez zastanowienia? Nie pomyśleć o konsekwencjach, nie mieć planów na przyszłość... Jęknął.

- Coś się stało?

- Nic, Katie. A właściwie wszystko.

- Masz taki wyraz twarzy... - powiedziała z wahaniem. - Widziałam go już przedtem...

Wyciągnął rękę i zaczął zapinać guziki jej pizamy.

- Dylanie...

Jej głos zabrzmiał tak błagalnie, że musiał znów stoczyć ze sobą walkę, by nie złamać narzuconej dyscypliny.

Pożądanie kazało mu rozpiąć jej pizamę. Z miłości zapinał ją z powrotem. Z miłości...

Kocha ją i nienawidzi tego, że ją kocha. Czy jest uczucie mniej przewidywalne i trudniejsze do kontroli niż miłość?

- Wiem, kiedy widziałam wcześniej u ciebie ten sam smutek na twarzy - szepnęła. - W każdy piątek, kiedy wybierałeś kwiaty do bukietu. Dla kogo one były?

Ten bukiet zanosił swojej matce, ale nie chciał obarczać Katie swoimi zmartwieniami. Jeśli kiedykolwiek będą się ze sobą kochać, chciał, aby te chwile przyniosły im niczym niezmaconą radość.

Jego siostra radziła mu, by dzielił się troskami. Naturalnie uważał, że powinna pilnować własnego nosa. Obarczanie innych swoimi problemami to dobre dla mężczyzn, którzy nie umieją ukrywać swoich uczuć. Facet taki jak on potrafił odreagować po męsku - przy kuflu piwa z kumplami, uganiając się za dziewczynami albo szalejąc na motocyklu.

Teraz wszystkie jego problemy dopadły go ze zdwojoną siłą. Przez niechcący uchylone drzwi wśliznęły się ponure myśli na temat jego matki i ojca.

Żył w przekonaniu, że ich związek będzie wieczny. Potem matka zachorowała, a ojciec temu wyzywaniu nie sprostał. Wybuchy wściekłości syna przyjmował z rezygnacją i uporem. Dylan co tydzień zanosił matce kwiaty, czekał na jakiś znak, że go rozpoznaje, że ją obchodzi. Gdy stało się jasne, że nie może mu już nic dać, próbował ofiarować jej coś od siebie. Czytał jej poezje, które kiedyś tak lubiła, kupował filmy i magazyny. Ale nie przejawiała żadnego zainteresowania.

Nie był nawet pewien, czy ojciec ją jeszcze odwiedzał. Ostatnio, gdy wpadł do niego, zauważył na stole kuchennym broszurę reklamującą rejsy statkiem wycieczkowym. Utwierdziło go to w podejrzeniu, że ojciec się z kimś spotyka. Ale nie nawiązał do tematu.

Patrząc w oczy Katie, po raz pierwszy poczuł dla swego ojca odrobinę współczucia i zrozumienia. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić bólu, jaki by nim zawładnął, gdyby w tych oczach, wypełnionych teraz miłością i oddaniem, miał już nigdy nie ujrzeć światła. Wspomnienia obrazów z przeszłości - jazdy na rowerze, wspólnej zmiany pieluch czy karmienia dziecka i tego promiennego śmiechu, którym Katie mogła zawstydzić słońce, byłyby prawdziwą torturą.

Nie chcąc zrozumieć ojca, może w gruncie rzeczy nie chciał poznać samego siebie? A przynajmniej swojej słabości.

A jeśli odziedziczył po matce geny odpowiadające za tę chorobę? Jeśli pewnego dnia Katie nie rozpozna w nim dawnego Dylana? Jeżeli stanie przed takim samym ciężkim wyborem, z jakim zmierzyć się musiał jego ojciec?

Czy to właśnie czyni miłość? Czyżby z miłości ludzie dokonywali najbardziej dramatycznych wyborów - takich, które rozrywają serce na strzępy? Miłość potrafi bezlitośnie i bez ostrzeżenia zmienić człowieka, może więc lepiej nigdy nie podejmować ryzyka?

Spojrzał na Katie, pocałował jej palec i przyłożył go do swoich ust. Od samego początku, gdy zaczął z nią tę pozornie niewinną grę, chciał sobie udowodnić, że potrafi być przyzwoity, ale teraz nabierał poczucia, że był bliski udowodnienia czegoś całkiem przeciwnego.

Czy przyzwoity mężczyzna próbuje kochać się z kobietą, jeśli nie ma jej nic więcej do zaoferowania?

- Nie mogę tego zrobić - powiedział cicho. - Przykro mi. - Wreszcie zachował się przyzwoicie.

Ale ona nie doceniła jego poświęcenia.

Rzuciła mu ponure spojrzenie, wstała z łóżka i opuściła sypialnię. A potem, nie zwracając uwagi, że jest boso i w piżamie, wyszła z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Usłyszał, jak uruchamia samochód i odjeżdża.

Przez długi czas leżał z otwartymi oczami. Starał się stłamsić w sobie wszystkie emocje. Nie powiedział jej, że ten cotygodniowy bukiet kupował dla swojej matki. To dobrze. Czułby się jeszcze bardziej bezbronny i zdany na jej łaskę. Był zły na Katie. Nic z nią nie szło tak, jak zaplanował. Ani zaloty, ani kochanie się, ani przeprosiny. Po prostu nic.

Związek z nią byłby nieustannym wyzwaniem. On sam musiałby na stałe przeistoczyć się w opiekuńczego, miłego, bezwzględnie uczciwego i po prostu dobrego faceta. Całe szczęście, że w porę się wycofał.

Ale dlaczego czuje się tak paskudnie? Miał wrażenie, jakby nagle dopadły go wszystkie te uczucia, które dotychczas z powodzeniem ignorował.

Bo jeśli istniało coś, co Nieustraszony Dylan McKinnon opanował do perfekcji, to właśnie ignorowanie uczuć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Słyszając odgłos otwierających się drzwi, Katie podskoczyła nerwowo, ale zaraz się opamiętała. To na pewno nie Dylan. Minęły dwa tygodnie od owej pamiętnej nocy i powinna skończyć z nadzieją, że ten facet znowu do niej zajrzy.

A może wpadnie w piątek, żeby wybrać kwiaty do specjalnego bukietu? Ej, łudzi się niepotrzebnie.

Nie zdradził jej, komu zanoszą ten bukiet. Oby nie kryło się w tym nic złego...

Za nikim tak bardzo nie tęskniła jak za Dylanem. Oczekiwała go w napięciu i niepewności. Całe szczęście, że tamtej nocy wrócił mu rozsądek i nie doszło między nimi do niczego więcej. Czułaby się jeszcze gorzej.

I dobrze zrobiła, odrzucając jego nedorzeczne propozycje, poczynawszy od przejażdżki motocyklem. Naprawdę postąpiła słusznie.

A może - szeptał jakiś zdradziecki głos - może gdyby się zgodziła, nie musiałaby niczego żałować na łożu śmierci?

Miała jednak nadzieję na drugą szansę, ponieważ za każdym razem, gdy ktoś wchodził, wstrzymywała oddech i czuła gwałtowne bicie serca. Tak jak teraz.

Drzwi otworzyły się wolno i przecisnęła się przez nie uderzająco piękna kobieta na wózku inwalidzkim. Nogę w gipsie trzymała wyciągniętą do przodu. Katie rozpoznała w niej od razu matkę Jake'a, siostrę Dylana.

Natychmiast uderzyła ją straszliwa myśl, że coś złego przytrafiło się Dylanowi. Może miał wypadek? O Boże, przyszła zamówić kwiaty... Nie. Twarz, na którą patrzyła, była radosna i pełna ciepła.

Tara podjechała do kontuaru i wyciągnęła rękę. Katie wychyliła się i odwzajemniła uścisk, zdając sobie sprawę, że jest obiektem większego niż zazwyczaj zainteresowania.

- Znalazłam u siebie trochę twoich rzeczy - powiedziała Tara, podając jej torbę.

Katie zerknęła do środka na swoją bieliznę i kosmetyki. Przypomniano jej, że opuściła dom w pośpiechu.

- To nie tak, jak myślisz! - powiedziała.

- A co ja myślę? - Głos Tary był łagodny.

- Że Dylan i ja... - Purpurowy rumieniec oblał jej policzki.

- Wcale tak nie uważam - odrzekła uprzejmie Tara. - Nie mam złudzeń co do swojego brata, ale przecież widzę, że ty jesteś inna. Przyzwoita - dokończyła uszczęśliwiona.

Katie nie rozumiała, co siostra Dylana ma na myśli. Być może uprzejmość nie pozwoliła jej powiedzieć wprost, że Katie Pritchard nie jest dziewczyną w typie Dylana.

- Chciałam ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś dla Dylana i Jake'a - ciągnęła Tara. - Kiedy pomyślałam, że Dylan zostanie sam z Jake'em... - Pokręciła głową i przewróciła oczami.

- Dylan bardzo dobrze opiekuje się dzieckiem - wtrąciła szybko Katie.

Powinna się ugryźć w język, zanim wystąpiła w obronie Dylana, ponieważ wzbudziła jeszcze większe zainteresowanie jego siostry.

- Wiem, że radzi sobie z Jake'em, ale obawiałam się o dom. Na razie wyniosłam trzy kartony zabawek i ciągle zeskrobuję pudding z szafek kuchennych.

Katie zamierzała się tym zająć, ale tak szybko opuściła wtedy dom...

- Komu bardziej podobały się zabawki? - spytała Tara.

- Dylanowi czy Jake'owi?

- Dylanowi - odparła bez wahania Katie i po chwili obie zachichotały.

Śmiała się po raz pierwszy od dwóch tygodni.

- Chciałam w podziękę wysłać ci kwiaty - ciągnęła Tara - ale Dylan powiedział, że masz ich całą kwiaciarnię, więc zapraszam cię na lunch. Zostawiłam Jake'a z Dylanem w biurze. W akcie zemsty zaopatrzyłam go w karmelowy pudding i wóz strażacki z ogłuszającą syreną.

Katie znów się roześmiała. Naprawdę powinna odmówić. Nie ma sensu zaprzyjaźniać się z jego rodziną. Postawi to Dylana w kłopotliwym położeniu. Z drugiej strony odradził siostrze, gdy chciała wysłać jej kwiaty. Bałwan! A niech tam, najwyżej utrudni mu trochę życie.

Poza tym Katie czuła, że polubi Tarę. Podczas ostatnich kilku minut śmiała się więcej niż przez ubiegłe dwa tygodnie.

- Chętnie zjem z tobą lunch - powiedziała. - Przekażę tylko kilka spraw pani Abercrombie i możemy iść.

Gdy Katie, pchając wózek, mijała biuro Dylana, stał w oknie z Jake'em na ramieniu. Na ich widok zmarszczył twarz. Tara pokazała mu język, a Katie z determinacją patrzyła prosto przed siebie. Nawet przez szybę słyszały podniecone okrzyki Jake'a. To Ona!

Katie dopiero teraz zauważyła, że dzień był piękny i słoneczny. Wybrały małą restaurację z ogródkiem niedaleko kwaciarni. Zamówiły naleśniki oraz herbatę po indyjsku i rozkoszowały się ciepłem słońca.

- Zauważyłaś, że Dylan stał się jakiś markotny? - odezwała się Tara, gdy podano jedzenie.

- Nie widziałam go ostatnio - odparła Katie.

- Doprawdy?

- Dziś w oknie zobaczyłam go po raz pierwszy od dwóch tygodni.

- Dlaczego?

- Na pewno znasz swojego brata i wiesz, że... - Szukała odpowiedniego słowa, po czym ostrożnie dodała: - Że zabawki łatwo mu się nudzą.

- Ty nie jesteś jego zabawką!

Prawie nią została. Wstydziła się przyznać nawet przed sobą, jak bardzo pragnęła nią zostać, nawet jeśli miało to trwać tylko jedną noc. Na pewno nie cierpiałyby bardziej niż teraz, a przynajmniej miałyby co wspominać.

- Pokłóciliście się? - indagowała Tara. - Zastanawiałam się nad tym. Zostawi-

łaś swoje rzeczy.

- Nie pokłóciliśmy się. - On mnie odrzucił!

- Hm, coś go gryzie, bo zupełnie oszalał.

- Co masz na myśli?

- Na razie wspina się na ściankach, ale latem planuje wyjazd w Rocky Mountains. Potem zobaczyłam, jak wiezie na dachu samochodu kajak, a w zeszły weekend zaprosił nas na wyścig motocyklowy. Natomiast wczoraj wieczorem dowiedziałam się, że w piątek wyjeżdża na Saharę. Na rajd na wielbłądach.

- Rajd na wielbłądach? - powtórzyła Katie z niedowierzaniem.

- Próbowałam dziś rano dowiedzieć się czegoś więcej, ale tylko burknął, że wyśle mi kartkę. Skąd na Saharze można wysłać kartkę?

- Z Desert Oasis w Las Vegas - rzuciła Katie z przekąsem.

- To dziwne, ponieważ z tego, co wiem, nie spotyka się teraz z żadną seksowną laską.

Katie starała się nie zdradzić, że poczuła ulgę. To nie jej sprawa, z kim Dylan się spotyka. Oczywiście wolałaby nie wysłać w jego imieniu kolejnego bukietu typu „Miło było cię poznać”.

A jeśli już będzie musiała, na pewno dołączy żółte goździki, aby wyrazić rozczarowanie i pogardę. I może kilka łądyg trującego tojadu, aby ostrzec biedną dziewczynę przed śmiertelnym wrogiem. Tara miała zatroskaną minę.

- Nie rozumiem jego wybryków. Nie był taki, zanim mama nie zachorowała.

- Wasza mama jest chora? - zapytała Katie. - Przykro mi. Dylan powiedział mi, że odeszła...

Tara ze smutkiem skinęła głową.

- Tak, odeszła. Ma alzheimera. Ojciec umieścił ją w domu opieki, najlepszym w okolicy, ale oczywiście to tylko instytucja. Dylan, oględnie mówiąc, był temu przeciwny. Zaproponował, że wynajmie pielęgniarzkę. Ale ojciec nie chciał mieszkać z obcą osobą pod jednym dachem. Myślę jednak, że widok mamy w takim sta-

nie byłyby dla niego po prostu nie do zniesienia. Ostatnie miesiące jej pobytu w domu były naprawdę przerażające. Zostawiała zapaloną kuchenkę, tłukła naczynia. Czasami wychodziła w nocy i błądziła po okolicy. Kiedyś nawet znalazła kluczyki i pojechała samochodem. Policja przywiozła ją do domu. Dzięki Bogu, że nikogo nie zabiła.

- Wyobrażam sobie, jakie to musi być bolesne dla całej waszej rodziny - odezwała się Katie.

Dylan nic jej nie powiedział. Nie ufał jej na tyle, by podzielić się z nią swym najgłębszym bólem.

Małeńka iskierka nadziei, jaka tliła się jeszcze w jej sercu, zgasła. Nie powiedział jej o sobie nic, co miało znaczenie. A może w pewnym sensie to zrobił? Co tydzień przychodził i starannie wybierał najpiękniejsze kwiaty do swojego tajemniczego bukietu.

Katie przypomniała sobie, jaki smutek malował się wówczas na jego twarzy. Taki sam smutek wзираł z jego oczu tamtej nocy, gdy tak zniecka się wycofał...

- Dla nas wszystkich to bardzo trudne. Dylan nie okazuje emocji, ale nie potrafi ojcu wybaczyć. A na dodatek jedna z sąsiadek, przyjaciółka mamy, stanęła twardo po stronie ojca. Podejrzewam, że to platoniczna znajomość, ale planowali wspólny rejs statkiem wycieczkowym i Dylan to wywachał. Biedny tata zrezygnował z wyjazdu, ale Dylan nadal nie odbiera od niego telefonów. W każdym razie ta zwariowana pogoń za dziewczynami zaczęła się dziwnym zbiegiem okoliczności zaraz po oddaniu mamy do zakładu. Że nie wspomnę o pozostałych wybrykach. Myślałam, że mu wystarczy skok na bungee, ale nie, on musi się jeszcze dowartościować i przejechać pustynię na wielbłądzie!

Katie zauważyła w oczach Tary prawdziwą miłość i niepokój. Zaczynała rozumieć, że jego zachowanie tamtej nocy być może nie miało nic wspólnego z nią. Niepotrzebnie się zadreślała przez ostatnie tygodnie, że nie jest wystarczająco atrakcyjna, że popełniła jakiś nietakt albo że mu przeszkadza jej status rozwódki.

Dylan bał się miłości. Bał się pięknej róży, która ma kolce.

- Kiedy wasza matka zachorowała? - spytała delikatnie.

- Jakies trzy lata temu, a od mniej więcej roku przebywa w Highlands.

Katie mogła sama się tego domyślić. Rok temu otworzyła „The Flower Girl”, właśnie wtedy, gdy zaczęła się ta szalona karuzela z dziewczynami Dylana.

- Dylan zawsze miał powodzenie - przyznała jego siostra. - Ale gdy grał, był tak pochłonięty swoją karierą, że prawie nie spotykał się z dziewczynami. Jednocześnie zaczął rozkręcać firmę. Nie było czasu na romanse. Często nagabywałam go na ten temat. Bardzo chciałam, żeby poznał odpowiednią dziewczynę, założył rodzinę. To naprawdę świetny facet. Nie chciałam, aby przegapił w życiu to, co najlepsze. Byłam załamana, widząc, jakimi dziewczynami się otacza.

Katie to rozumiała. Tamte kobiety niczego od niego nie wymagały. A gdy spotkał taką, która wyżej postawiła poprzeczkę, prędko się wycofał.

Katie musiała przyznać, że Dylan zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, ale nigdy nie oszukiwał i niczego nie udawał - może poza tym, że desperacko próbował przekonać ją, że jest gorszy niż w rzeczywistości.

- Traktując wszystko powierzchownie, zapewne chciał uniknąć bólu - mówiła Tara.

Nareszcie Katie pojęła, że tu w ogóle nie chodziło o nią. Dylan rozpaczliwie starał się pokazać światu, jaki to z niego śmiałek, podczas gdy naprawdę bał się tego samego, czego boi się każdy śmiertelnik.

Bał się, że zostanie zraniony. Nie chodzi rzecz jasna o uraz fizyczny. Złamanej nogi nie da się porównać ze złamanym sercem.

Rozmowa zesłała na inne tory. Nim lunch dobiegł końca, Katie wiedziała, że się z Tarą zaprzyjaźni.

W piątek Katie sama przygotowała bukiet dla matki Dylana. Ułożyła go z tych samych kwiatów, które on wybierał - chryzantem symbolizujących prawdę i stokrotek oznaczających czystość i lojalną miłość. Od siebie dodała biały wrzos na

znak ochrony i liliowce na znak macierzyństwa, a całość zwieńczyła wiosennymi tulipanami niosącymi wyznanie idealnej miłości.

Włożyła całe serce w ten bukiet, ponieważ kochała Dylana. Kochała go, nie zważając na to, czy może liczyć na wzajemność. Postanowiła, że podczas jego pobytu na Saharze raz w tygodniu wyjawi swoje uczucie w bukietach dla jego matki.

Skończyła układać kwiaty i cofnęła się o krok. Była zadowolona ze swego dzieła.

Zamknęła kwaciarnię na resztę dnia i pojechała do Highlands. Godzinę później weszła do pokoju matki Dylana. Pani McKinnon była przystojną kobietą o szlachetnych rysach twarzy i dumnej postawie. Miała starannie uczesane siwe włosy, a na sobie elegancki kostium. Ale gdy zwróciła na gościa oczy, tak samo niebieskie jak oczy Dylana, wyczierała z nich pustka.

- Dzień dobry. - Katie zauważyła, że starsza kobieta spogląda na nią z niepokojem, jakby przeczesywała postrzępioną pamięć. - Nie zna mnie pani - wyjaśniła szybko. - Przyniosłam kwiaty.

Kobieta spojrzała na bukiet, uśmiechnęła się słodko i drżącymi palcami zaczęła dotykać płatków. Zdawało się, że ukryte w kwiatach przesłanie przenika przez spowijającą jej umysł mgłę. Na moment jej oczy pojaśniały, jakby obudziła się z letargu. Westchnęła z lubością, a potem wtuliła twarz w kwiaty. Katie zrozumiała, dlaczego Dylan tak sumiennie je przynosił.

Weszła opiekunka z naręczem świeżych ręczników.

- Och, kwiaty! - zawołała od progu. - Zwykle przynosi je syn pani McKinnon. Czyta jej, pokazuje zdjęcia w albumach, stare rodzinne filmy na wideo. Rozumiem, że wyjechał... - Zmieniając ręczniki, ciągnęła: - Dylan McKinnon jest nadzwyczajnym synem. Oczywiście, biedaczka nawet go nie poznaje. - Gdy skończyła swoją pracę, wyszła.

Katie rozejrzała się po pokoju. Zauważyła zasuszone kwiaty, tomiki poezji, oprawione zdjęcia i albumy oraz podpisaną piłkę bejsbolową. W rogu pokoju stał

telewizor, a pod nim odtwarzacz.

Katie sięgnęła po tomik poezji, usiadła na brzegu łóżka naprzeciwko fotela pani McKinnon i zaczęła czytać. Poetyckie słowa tchnęły miłością, odwagą i nadzieją...

Gdy po chwili podniosła wzrok znad książki i spojrzała na panią McKinnon, zobaczyła kobietę, którą kiedyś była - kochaną i kochającą. A gdy matka Dylana z wahaniem ujęła jej rękę, Katie nie mogła powstrzymać łez.

Dylan w czapce bejsbolowej nasuniętej głęboko na oczy, by nikt go nie rozpoznał, siedział w hali lotniska. Miał ponurą minę. Po upadku ze ścianki bolał go kark. Nie uśmiechała mu się perspektywa spędzenia trzech tygodni na grzbiecie wielbłąda.

Do tej pory nieustająca aktywność i przyływy adrenaliny odrywały go od ponurych myśli i działały jak balsam na jego duszę. Ale nie tym razem. Straszliwie tęsknił za Katie. Jak to się stało, że tak go opętała? Dlaczego nie potrafił przestać o niej myśleć?

Raptem zrozumiał.

Kocha ją, a o miłości nie można zapomnieć na życzenie, nawet gdyby przez resztę życia wędrował po Saharze.

Oszukiwał się, wmawiając sobie, że żyje pełnią życia. Popołudnie spędzone z Katie i dzieckiem dało mu więcej radości i satysfakcji niż skoki na spadochronie czy wspinaczka. I na pewno biło na głowę jazdę na wielbłądzie.

Wywołano jego lot. Wstał, zrobił kilka kroków i po chwili zatrzymał się. Jest piątek. Nie musi jechać na Saharę. Musi pojechać w odwiedziny do matki.

Nagle tu na lotnisku, w ostrym świetle jarzeniówek, pojął, że nawet jeśli miłość ma wywrócić jego życie do góry nogami, powinien podjąć ryzyko. Powinien chwycić ten dar losu i wykorzystać czas, którego nigdy nie było za wiele. Zdał sobie sprawę, że nie chce stracić już ani minuty.

Przywołując taksówkę, nadal był oszołomiony swym odkryciem, ale jedno-

częście po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się wolnym człowiekiem. Człowiekiem, który przestał się szamotać.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju matki. Powinien kupić jakiś bukiet, ale kwiaty boleśnie przywodziły na myśl Katie. Gdy zobaczył na brzegu łóżka młodą kobietę, która trzymała jego matkę za rękę, stanął jak wryty.

Ona?

Jej widok w dziwny sposób go uspokoił. Nieznośny ból, który męczył go od dwóch tygodni, ustąpił, a przeświadczenie, że musi coś z nim zrobić, zniknęło. Jej ramiona drżały. Zdał sobie sprawę, że Katie płacze.

Kiedyś na widok łkającej kobiety uciekałby gdzie pieprz rośnie. Teraz cicho podszedł do Katie i usiadł obok niej. Przestraszona podniosła wzrok, a gdy przez moment ujrzał na jej twarzy wyraz paniki, poczuł wyrzuty sumienia. Obawiał się, że wstanie i ucieknie, więc wziął ją za rękę, pocałował i przytulił.

Zobaczył bukiet. Od roku kupował kwiaty u Katie. Jej bukiety zawsze wyróżniały się urodą, ale ten promieniował jakimś wewnętrznym światłem.

A potem napotkał wzrok matki i niespodziewanie uśmiech rozjaśnił jej oczy. Zrozumiał, że blask miłości, jaki promieniował od tego bukietu, rozświetlał również jego twarz. Jego matka, choć nieobecna duchem, nieomylnie rozpoznawała miłość - niegasnące wieczne uczucie, tak jak obiecywał wiersz, który tyle razy jej recytował. Katie uniosła głowę.

- Myślałam, że przemierzasz Saharę na wielbłądzie - powiedziała ostrożnym tonem.

- Stwierdziłem, że to będzie nudne.

- A tego byś nie zniósł, prawda? - zażartowała i odsunęła się od niego.

- Jesteś na mnie zła?

- To by znaczyło, że mi na tobie zależy.

- Och, Katie, kochanie, obydwójce wiemy, że tak jest.

Jej system obronny załamał się i znów łzy popłynęły po jej policzkach. Ale

tym razem Dylan czuł, że nie musi ich powstrzymywać.

- Szkoda, że mi nie powiedziałeś - wykrztusiła w końcu. - Chciałam, żebyś mi zaufał.

Nigdy nie mówił nikomu o tym, co leży mu na duszy. Ukrywał swą prawdziwą naturę za zasłoną żartów, biznesu, uprawiania sportów, przyływów adrenaliny i lekkomyślnych, nowych wyzwań.

- Nikomu o tym nie opowiadałem - wyznał. - To zbyt bolesne.

- Czasami lepiej podzielić się swoim bólem.

- To sobie nie ufałem, nie tobie. A jeśli jestem podobny do ojca? Jeśli zawiodę w chwili próby?

- Czy ona już nie nastąpiła? - Podniosła rękę z tomikiem poezji. - Czy nie postępujesz przyzwoicie?

- On nawet jej nie odwiedza - podjął ostatni rozpaczliwy wysiłek w celu udowodnienia swojej racji.

Katie spojrzała na jego matkę, a potem na niego.

- Myślę - stwierdziła cichym głosem - że przede wszystkim chciałaby, aby twój ojciec był szczęśliwy. Ja bym tego chciała, gdyby... - Urwała.

- Gdyby co?

Odrzuciła głowę do tyłu i odważnie spojrzała mu w oczy.

- Gdyby chodziło o ciebie i o mnie.

- On ją porzucił. Nie zasługiwała na to. Och, Katie, gdybyś wcześniej ją znała! Zawsze troszczyła się o innych, nigdy nie myślała o sobie...

- No widzisz, mam rację - rzekła Katie. - Na pewno nie chciałaby stać się ciężarem dla innych. Miłość nie jest więzieniem. Miłość daje ludziom wolność.

To prawda. Prawdziwa miłość nie trzyma jeńców, nie żąda wielkich gestów ani ofiar. .

Miał poczucie niezwykłej wolności, gdy wybrał drogę powrotną do Katie zamiast tej, która prowadzi daleko na pustynię.

- A gdyby tak ten, którego kochasz, siedział w tym fotelu? - zapytał szorstko.

- Co wtedy?

- Boisz się, że to możesz być ty?

Dylan skinął głową.

- Jeśli naprawdę się tego boisz, powinieneś zaprzestać skoków z samolotów i mostów. - Uśmiechnęła się. - Żartuję. Kocham w tobie tę życiową pasję. Nauczysz mnie tak żyć.

- A jeśli skończę tak jak mama?

- Wtedy - odparła bez wahania - będę przynosić ci kwiaty i czytać wiersze.

Będę pokazywać ci zdjęcia i filmy. Zrobię dokładnie to co ty, Dylanie.

- Będziesz jeńcem? - spytał szorstko.

- Jeńcem? - Zerknęła na niego z ukosa. - Oczywiście, że nie. To nie będzie dla mnie ani katorga, ani obowiązek. To będzie akt miłości.

Popatrzył na bukiet, który ułożyła, i poczuł promieniującą z niego miłość. A gdy spojrział w jej oczy, zobaczył w nich swoje odbicie.

Katie ma rację. Odwiedzał matkę - przynosił kwiaty, czytał wiersze, czesał jej włosy - z miłości. Z najczystszej miłości.

Zrozumiał, że gdy mężczyzna jest zdolny zapomnieć o sobie i, nie oczekując nagrody, zrobić coś dla kogoś innego, oznacza to, że jest wreszcie gotów. Gotów porzucić jazdę na wielbłądach i skoki z mostów, by poznać swe serce i sens prawdziwej odwagi.

A przede wszystkim, że jest gotów kochać Katie Pritchard.

Nagle matka przyłożyła mu rękę do policzka, a gdy spojrział jej w oczy, zauważył w nich iskrę życia. Być może go nie rozpoznała, ale na pewno rozpoznała miłość.

- Zazwyczaj zabieram mamę na kolację - powiedział. - Pójdiesz z nami?

- Oczywiście - odparła.

Przed wejściem do jadalni zapłacił za posiłek swój i Katie. Usiedli nad plasti-

kowymi talerzami. Podano wołowinę po meksykańsku z purée ziemniaczanym i groszkiem. Gdy trzy urocze starsze panie zaczęły śpiewać skoczne piosenki, jego matka zapomniała o jedzeniu i klaskała w dłonie.

Dylan westchnął i spojrzał Katie w oczy.

- Trochę inaczej sobie wyobrażałem naszą pierwszą oficjalną randkę.

- Naprawdę? - Katie wyglądała na zachwyconą. - Co może być lepszego niż kolacja z facetem i jego matką?

Wiedział, że Katie mówi szczerze. I wiedział coś jeszcze: że miłości do niej nie potrafi wyrazić słowami.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dylan zapukał do drzwi swego rodzinnego domu. W jednej ręce trzymał pizzę, w drugiej torbę z piwem. Kwiaty na klombach już przekwitły. Na uschniętej gałęzi jednego z krzewów trzepotał kawałek starej gazety. W najbliższy weekend zajmie się porządkami. Katie na pewno chętnie mu pomoże.

Oczami wyobraźni widział, jak pracują razem w ogródku. Podobał mu się ten obrazek. Od czasu ich pierwszej „oficjalnej” randki sześć tygodni temu dowiedział się, że kochała małe codzienne przyjemności. Picie kawy w ogródkach ulicznych kafejek, spacer po parku, obserwowanie zachodów słońca nad jeziorem przy butelce wina i chipsach. Była pełna niespodzianek. Gdy po raz pierwszy zabrał ją na przejażdżkę motocyklem, objęła go mocno ramionami i piszcziała z zachwytu. Podczas czterech wspinaczek na ścianie trzykrotnie go pokonała i z nieustraszoną miną patrzyła na niego z góry.

O tak, nadała nowe znaczenie słowu „nieustraszony”.

To go właśnie tu przywiodło.

Był gotów pogłębić swoją zażyłość z Katie, ale najpierw musi uporać się z kilkoma sprawami. Nie może zbliżyć się do niej z raną w sercu.

Gdy ojciec otworzył drzwi, Dylan ze smutkiem skonstatował, że czas nie stoi w miejscu. Choroba matki na wszystkich odcisnęła piętno. Ojciec postarzał się, plecy miał przygarbione, włosy mu się przerzedziły.

Dylanowi stanęły przed oczami obrazki z przeszłości. Pamiętał, jak ojciec rzuca mu piłki bejsbolowe aż do zapadnięcia zmroku, jak przychodzi na każdy mecz ligi młodzieżowej, jak płacze z radości, gdy Dylan dostał się do drużyny Jaysów...

- Przyniosłem kolację - powiedział.

Mimo że na twarzy ojca malowała się radość, dojrzał w jego oczach się cień ostrożności.

- Myślałem, że ścigasza się gdzieś na wielbłądach - zauważył szorstko. - Cholerny wstyd dowiedzieć się z telewizji, co zamierza mój syn.

Ojciec ma rację. Nie zachował się w porządku.

- Uznałem, że przeżyję bez tego trofeum.

Zjedli pizzę przed telewizorem, oglądając sport i popijając zimne piwo. Dylan zdawał sobie sprawę, że ojciec, podobnie jak on, a może wszyscy mężczyźni, ma kłopoty z ujawnianiem emocji.

Wolał nie wspominać o rozdzwisku między nimi, po prostu udawać, że nic się nie stało i pozwolić, aby pizza, piwo oraz sama obecność syna starczyły za przeprosiny.

Ale Dylan chciał pokazać, że ma w sobie dość cywilnej odwagi, aby przyznać się do własnych błędów, oraz że jest gotów wybaczyć. Chciał udowodnić, że jest mężczyzną godnym miłości takiej kobiety jak Katie Pritchard.

Podczas przerwy na reklamę wziął głęboki oddech, ściszył telewizor i odchrząknął.

- Tato, chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro. Wiem, że to była dla ciebie trudna decyzja, a ja ją ci jeszcze bardziej skomplikowałem.

Ojciec mruknął coś pod nosem, ale Dylan ciągnął:

- Wiem, że mama pragnęłaby, abyś był szczęśliwy. Abyśmy wszyscy byli szczęśliwi. Aby rodzina, nawet bez niej, pozostała rodziną... Wiem, że mama nie będzie już taka jak kiedyś, ale nie mogę zapomnieć, czego mnie nauczyła. Dzięki niej wiem, co oznacza miłość i naprawdę czuję się źle, że na jakiś czas o tym zapomniałem.

Ojciec schował twarz w dłoniach.

- Wszystko w porządku - powiedział, a gdy podniósł głowę, w jego oczach lśniły łzy. - Ona nawet nie wie, czy ja przychodzę, czy nie.

- Wiem.

- Rozumiesz, że ją kocham, prawda?

- Tak.

- Bardzo ją kocham. Ale czuję, że ona nie chciałaby, abym ją widział w takim stanie... Odartą z godności. Często rozmawialiśmy o tym, co zrobimy, jeśli jedno z nas będzie beznadziejnie chore, podłączone do aparatury... Uzgodniliśmy, że wtedy drugie z nas odłączy kabel. Obydwoje zgodziliśmy się, że gdy człowiek jest nieobecny duchem... - Głos mu zamarł. - Zakładałem, że to będę ja... Och, jakim byłem egoistą! Chciałem umrzeć pierwszy, aby nie zostać sam. Ale jeszcze gorzej jest żyć bez niej ze świadomością, że ona żyje!

Zapadła cisza. Obydwaj zadumali się nad nieprzewidywalnymi zrzędzeniami losu.

- Może już czas, żebyś pojechał na ten rejs, tato - przerwał milczenie Dylan.

- Może - mruknął ojciec, a potem wziął do ręki pilota i nastawił telewizor.

Dylan sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa bilety.

- Dla ciebie i dla twojej przyjaciółki - oświadczył. - Będę wtedy pływać z delfinami w Cabo San Lucas. Mam nadzieję, że tam wpadniecie.

Tego wieczoru po powrocie do domu włączył komputer. Nadszedł czas na zabieganie o względy Katie. Nareszcie jest jej wart, wie, czego naprawdę chce i jest pewien, jak to osiągnąć.

Zastanawiał się chwilę, a potem wrzucił w wyszukiwarce internetowej słowa: „Tajemna mowa kwiatów”.

Katie wyszła wcześniej z pracy. Była zdenerwowana. Co się dzieje z Dylaniem? Od wielu tygodni dzwonił do niej codziennie, adorował ją i rozkochał w sobie do szaleństwa. Wiedziała już, jak to jest budzić się rano z uczuciem takiej lekkości, jakby fruwało się w powietrzu.

Widziała teraz siebie jego oczami. Czowała się piękna. Zasługiwała na miłość. Jej życie zmieniło się nie do poznania. Było wspanialsze niż marzenia.

Dzwonił wczoraj, ale sprawiał wrażenie roztargnionego. Wspomnił coś o odwiedzinach u ojca. Niech Tara sobie myśli, co chce, ale Dylan na pewno nie uni-

ka trudnych spraw.

Zakiełkowało w niej źdźbło wątpliwości. Czyżby znużył się nią i powrócił do starych obyczajów?

Otworzyła drzwi samochodu i ze zdumienia wstrzymała oddech. Na siedzeniu leżał bukiet. Jaskrawożółte mlecze!

Rozejrzała się. Nikogo. Jak ktoś otworzył drzwi? Znów spojrzała na bukiet. Zachwycił ją ten niespodziewany podarunek.

Kwiaty były tak mocno związane, że wyglądały jak gigantyczny żółty pompon. Łodyżki ozdobiono wstążką i dodatkowo owinięto w mokrą bibułę oraz w plastik.

Katie знаła tylko jednego mężczyznę, który miał dość pewności siebie i poczucia humoru, aby podarować jej bukiet mleczy. Oczywiście wiedziała, że w dawnych czasach, gdy jeszcze nie było kwiaciarni, mężczyźni zrywali te kwiaty na łąkach, aby obdarować nimi swoje wybranki na znak wierności.

Łzy przesłoniły jej oczy. Domyśliła się, że z ojcem wszystko poszło dobrze. Dylan jest gotów do miłości, a przede wszystkim do tego, co w niej najtrudniejsze - do przebaczenia.

Rozmyślając nad niespodziewanym prezentem, podjechała do domu. Na frontowym ganku stał krzew w doniczce. Dereń w pełnym rozkwicie - niesłabnąca wieczna miłość.

Postawiła doniczkę pośrodku kuchennego stołu, podobnie jak wazon z mleciami, a potem wzięła na ręce Motleya i, nie zważając na jego protesty, zaczęła tańczyć z nim po całym domu. Czy powinna zadzwonić do Dylana? Podziękować?

Tej nocy prawie nie spała. Była tak niespokojna, że nawet koty obudziły się i obrażone opuściły sypialnię. Miała dziwne wrażenie, że niebawem koty będą musiały przyzwyczać się do spania bez niej.

W niedzielny poranek obudziło ją pukanie do drzwi. Choć nie zmrużyła oka, żywo wyskoczyła z łóżka niczym Kopciuszek do czekającej na nią karocy.

Na ganku stało uginające się pod ciężarem kwiatów drzewko pomarańczowe. Roztaczało niebiański zapach, kojarzący się z tradycyjnym przesłaniem kwiatu pomarańczy - z wieczną miłością.

Z niemałym trudem wtaszczyła drzewko do środka, a wtedy jego upajający zapach wypełnił cały dom.

Zdenerwowana siedziała przy telefonie i, gryząc paznokcie, chroniła drzewko przed kotami. Ale po pewnym czasie przyszło jej do głowy, że powinna zrobić coś konstruktywnego. Nie może po prostu tak siedzieć i żałośnie czekać.

Weszła do garderoby i dokonała selekcji swoich ubrań. Następnie schowała pomarańczowe drzewko do łazienki i pojechała do centrum handlowego.

Długo wybierała nowe ubrania, ale wreszcie kupiła rzeczy, jakie zawsze chciała nosić. Nie były to wyszukane i markowe kreacje, które wkładała, będąc z Marcusem, ale również nie były to stroje zwariowanej miłośniczki kotów. Była to garderoba kobiety pewnej siebie i świadomej swej kobiecości - zalotne spódniczki, obcisłe dzinsy, bluzki ozdobione koralikami, seksowne naszyjniki i piżamy z prawdziwego jedwabiu.

Dojechała do domu w momencie, gdy dostarczono orchidee. Orchidee zawsze symbolizowały miłość i piękno.

- Jak wam się udało w niedzielę załatwić dostawę orchidei? - spytała posłańca.

- Czego się nie robi za bilet na mecz Jaysów? - odparł chłopiec.

Mimo luksusowej kąpieli w pachnącej pomarańczami łazience Katie znów spędziła bezsenną noc. Gdy wstała rano, na ganku znalazła słonecznik Bartholomew od razu zapalał do niego niechęcią, postawiła więc go w łazience obok drzewka pomarańczowego.

W drodze do pracy zastanawiała się nad znaczeniem słoneczników. Przypominały o słońcu nawet w szare pochmurne dni i obiecywały poświęcenie.

Tego ranka Katie ubrała się staranniejsz niż zwykle. Włożyła ozdobioną haftem

spódnicę w kolorze mlecznej czekolady i obcisły, podkreślający kształty żakiet. Wyglądała jak kobieta tryskająca energią, która wie, że jest piękna i zasługuje na względy.

Na kontuarze w kwiaciarni znalazła różową różę. Pojedyncza róża w pełnym rozkwicie zawsze mówi jedno: Kocham cię.

Różowy kolor zapowiada idealne szczęście. Wszystko to było cudownie romantyczne, ale Katie wiedziała, że prawdziwe szczęście nadejdzie wtedy, gdy Dylan ją przytuli, a potem pocałuje.

Gdy zaczną od tego miejsca, gdzie skończyli tamtego wieczoru w domu jego siostry. Dylan zaskoczył ją swymi niespiesznymi zalotami. Zachowywał się jak dżentelmen z epoki wiktoriańskiej, który zna tajemną mowę kwiatów i docenia znaczenie oczekiwania w miłości.

Szturm trwał przez następne kilka dni. Dostała czerwone kamelie, które mówiły, że roznieciła w jego sercu płomień, a potem poprzez czerwone róże wyznał, że ją namiętnie kocha. Ale nadal nie pojawiał się we własnej osobie.

Gdy otrzymała białe fiołki, stwierdziła, że ma dość. Jej cierpliwość dobiegła końca. Zadzwoiła do jego biura.

Ale gdy usłyszała jego głos, straciła nagle odwagę i słowa uwięzły jej w gardle.

- Zaryzykujmy - wykrztusiła w końcu, powtarzając przesłanie białych fiołków.

- Jakie mamy szanse? - spytał.

- Ty jesteś śmiałkiem, oceń sam.

- W porządku.

Po dziesięciu minutach dostarczono pudełko. Gdy je otworzyła, okazało się, że tym razem nie ma w nim kwiatów. W środku znajdowała się sportowa bluza z kapturem, bez rękawów i z emblematem Daredevils. Włożyła ją na siebie.

Jaskrawa czerwień gryzła się z ciepłym brązem jej szerokiej spódnicy i nie

pasowała do butów na wysokich obcasach, ale nie zwracała na to uwagi, podziwiając swoje odbicie w lustrze i czując się atrakcyjniej niż kiedykolwiek.

Sięgnęła do kieszeni i znalazła tam karteczkę z poleceniem: „Pociągnij za naszywkę na ramieniu”.

Po chwili cienki niczym jedwab rękaw rozwinął się jak harmonijka. Roześmiała się głośno i zrobiła to samo z drugim rękawem. Znalazła następną karteczkę: „Idź na zaplecze do pani Abercrombie”.

Zrobiła tak, jak kazał. Powinna się domyślić, że miał współnika. Pani Abercrombie dzisiaj miała wolne.

- Myślałam, że go nie lubisz - zwróciła się do swej oddanej pomocnicy.

- Tak było na początku. Ale potem odkryłam, że ma szlachetne intencje. - Pani Abercrombie popatrzyła na swoją szefową i dodała z uśmiechem: - Nareszcie cała promieniejesz. Powiedział, żeby ci to dać.

Spod zlewu wyjęła roślinę w doniczce i podała ją Katie.

Bluszcz. Katie zadrżała.

- Ja... chyba zapomniałam, co oznacza... - wyjąkała, chociaż nie była to prawda.

Po prostu bała się w nią uwierzyć.

- Przypomnisz sobie - zapewniła pani Abercrombie, po czym włożyła zakiet i skierowała się w stronę drzwi.

Katie nadal trzęsła się jak liść. A potem usłyszała chrząknięcie. Odwróciła się i zobaczyła Dylana.

Jak to możliwe, że był piękniejszy, niż zapisała w pamięci? Ubrany w identyczną bluzę jak ona, stał nonszalancko oparty o drzwi. Ale na dnie jego niebieskich oczu czaił się niepokój.

- Bluszcz oznacza małżeńską miłość - wyjaśnił. - I wierność. - Czy naprawdę w głosie takiego nieustraszonego mężczyzny słyhać było delikatne drzenie?

- To prawda - odparła, zaskoczona własnym spokojem.

- W bluzie wyglądasz wspaniale - zmienił temat. - To jedna z ładniejszych rzeczy, w jakich cię widziałem. Chociaż muszę przyznać, że spódnica też jest fantastyczna.

Po raz pierwszy komplementował jej ubiór!

- To piękna bluza - przyznała. - I bardzo mi się podobają rękawy.

- Stara sztuczka rowerzystów. Jeśli zatwierdzasz ten model, w przyszłym tygodniu ruszamy z produkcją.

- To jest wspaniały model. - Ale naprawdę chciała powiedzieć: „I kocham mężczyznę, który mi ją dał”. - Czy możemy wrócić do rozmowy o bluszczu?

- Oczywiście. Poszukaj czegoś wśród liści.

Znalazła małą kopertę. W środku znajdował się wysadzany diamentami wisior w kształcie dwóch delfinów wyskakujących z wody. Nigdy w życiu nie widziała równie pięknej biżuterii.

- Tak sobie pomyślałem... Miałaś już ślub w białej sukni i wszystko, co się z tym wiąże. Chcesz to powtórzyć?

Pokręciła głową. Wyobraziła sobie raczej odludną plażę, zachodzące słońce, bose stopy w ciepłym piasku i może kieliszek szampana...

- Tym razem chcę, abyśmy byli sami. Ty i ja. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Pomyślałem, że możemy popływać z delfinami - powiedział czule. - A przy okazji weźmiemy ślub. Na plaży, w miejscowości Lands End. Na krańcu ziemi początek miłości, co ty na to? Potem nasze rodziny mogłyby przyjechać do nas na wakacje. - Przyjrzał się jej uważniej. - Chyba nie zamierzasz zemdleć, Katie, kochanie...?

Ale nie dał jej szansy. Podeszedł, wziął ją w ramiona i zaczął z nią tańczyć po całym sklepie; jej spódnica wirowała wokół nich, aż obydwójce zaczęli się zanosić śmiechem.

- Chciałem to zrobić od chwili, gdy zobaczyłem, jak tańczysz z tymi głupimi biletami - wyznał.

- Czy ty drżysz? - spytała.

- Tak.

- Boisz się?

- Bałem się, zanim usłyszałem twoją odpowiedź. Teraz już się nie boję. Czasem myślę, że ludzie drżą, kiedy stają przed czymś, co ich przerasta. Ja stoję w obliczu miłości i przez całe życie czekałem, aby tu się znaleźć. Szukałem miłości w wielu miejscach i popełniłem wiele błędów. Ale teraz wiem, że naprawdę ją czuję i już nigdy się nie cofnę, Katie. Moje uczucie do ciebie nigdy się nie zmieni, kochanie - wyszeptał do jej ucha. - Nigdy nie przestaniesz mnie fascynować. Oto moja przysięga.

Jeśli Katie kiedykolwiek powątpiewała w swój instynkt, teraz zrozumiała, że nie miała racji. Jej serce dostrzegło tego mężczyznę, zanim naprawdę go poznała. Instynkt jej nie zawiódł. Dylan McKinnon pokonał jej wewnętrzny strach i wskazał prostą drogę - do siebie.

Instynkt nakazywał jej teraz go pocałować.

W tym pocałunku był cały świat i kawałek nieba. Przeszłość, która ich tu przywiodła, i wyzwania przyszłości. Wyczuwała w nim siłę, która przeprowadzi ich przez trudne chwile, i radość, z jaką powitają na świecie swoje dzieci, oraz nadzieję, że wszystko w życiu można naprawić.

Nie zdziwiła się, gdy na jego ustach wyczuła subtelną woń róż. Przecież kwiaty od niepamiętnych czasów wyrażały męskie uczucia: pożądanie, podniecenie, namiętność, fascynację, wdzięczność.

Jej serce, poznawszy wszystkie tajemnice kwiatów, otworzyło się jak róża.

